

**MARCIN WOLSKI**

**ŚWINKA**

- Naprawdę musisz wyjechać? Nie możesz raz przełożyć tych badań na inny termin? - w głosie młodej dziewczyny brzmi wyrzut.

- Nie mogę, zresztą nie chcę, Lucy. Zwłaszcza teraz, kiedy postanowiliśmy, że nasz ślub odbędzie się w czerwcu. Nie chciałabyś przecież, abym zamiast w podróż poślubną, wyruszył do centrum doświadczalnego...

- Ależ Will, mogłabym pojechać z tobą! Byłoby cudownie.

- Ech, Lucy, ile razy mam ci powtarzać, że program jest ściśle tajny, a obiekt zamknięty. Prowadzimy doświadczenia o ogromnym znaczeniu dla rozwoju ludzkości. W praktyce zaledwie parę osób zna istotę eksperymentów, a pełny obraz mam tylko ja... no i oczywiście Frank i Hans... Czasami twoje podejście do mojej pracy doprowadza mnie do rozpacz.

Lucy westchnęła. Wiedziała, że za chwilę się rozstaną, a ona pozostanie w tym wynajętym mieszkaniu, zadając sobie po raz nie wiadomo który pytanie, jak to się stało, że ona, Lucy Crawford, ulubienica całego Holliday Spring, związała się właśnie z tym zabiegającym, wiecznie niespokojnym naukowcem...

- A O'Hara sam nie da rady? - spytała z resztką nadziei.

- Frank? - William Holding aż się zachnął - to przecież kompletne beztalencie. Pozostawiony sam nie odróżniłby naszego serum nawet od jadu grzechotnika.

- Dlaczego w takim razie uczyniłeś go swoją prawą ręką? Jesteś niekonsekwentny, kochany docencie... Naukowiec uśmiecha się bagatelizujące:

- Razem pracowaliśmy tyle lat... Przecież właśnie Frank ściągnął mnie do Instytutu... Poza tym nie sposób odmówić mu innych zalet. Jest elokwentny, robi dobre wrażenie na ludziach... Znakomicie udziela wywiadów, w których podpisuje się pod moimi wynalazkami.

- A ty to tolerujesz!

- No cóż, mam pewną słabość do doktora O'Hary...

- Nierozsądnie, bo on cię nienawidzi, jestem pewna, że gdyby tylko mógł... On i ten wasz rzeźnik...

- Hans Weissenstein? Przesadzasz, kochanie. Widzę, że niepotrzebnie zapraszałem cię na salę zabiegową. Dla laika każdy chirurg wydaje się oprawcą. W istocie ten Gargantua ma ręce zegarmistrza...

- Ale patrzy na ciebie jak na zaropiałą ślepą kiszkę, którą chętnie wyciąłby jednym ruchem lancetu...

- Nikt nie kocha wymagającego szefa. Takie jest życie - skwitował docent i nerwowo spojrzął na zegarek. - Czas na mnie.

- Jak chcesz... Dopiero za godzinę wychodzę do klubu, więc gdybyś chciał... - wymownie spojrzała w stronę rozłożystej leżanki...

- Nie mogę. Muszę sprawdzić jeszcze cykl F-34, a rano jadę do Sektora G.

Ruszył ku drzwiom. Nagle, jakby sobie coś przypomniał, zawrócił i porwał dziewczynę w ramiona.

- Jestem bardzo szczęśliwy. Kocham cię, Lucy! - zawołał.

I wyszedł.

Jest prawdą, że trzydziestodwuletni docent William Holding nie miał łatwego charakteru. Nastrojowiec, wiecznie za czymś goniący, zawsze niezadowolony z siebie i podwładnych, nie cieszył się sympatią personelu. Owszem, każdy doceniał jego walory umysłowe, które sprawiły, że w ciągu pięciu lat z szeregowego pracownika stał się pierwszym mózgiem Instytutu Transplantacji. Co innego jednak doceniać, co innego lubić. Bo jak mawiała doktor Salieri z zakładu Genetyki: „należy tylko dziękować opatrności, że docent Holding żyje w XX wieku, kiedy jego szaleńczy dynamizm może realizować się w programach naukowych. Żyjąc parę wieków wcześniej zostałby zapewne grozę budzącym inkwizytorem czy despotycznym satrapą...”

- Za co ja go właściwie kocham? - czysto zastanawiała się Lucy - ani przystojny, ani specjalnie zadbany...

Poznali się dwa lata wcześniej, kiedy młoda piosenkarka miała paskudny wypadek samochodowy. Pęknięcie wątroby czyniło sprawę beznadziejną. I wtedy do szpitala zgłosił się mało znany doktor z Instytutu Transplantacji. Zaproponował przeszczep.

- Wykluczone, wątroba nie daje się przeszczepiać... Poza tym w tym konkretnym wypadku niewątpliwie nastąpi odrzut - powiedział ordynator.

- Mam serum antyodrzutowe - rzekł skromnie Holding. I uratował ją. Dziewczyna w podziękcie zaprosiła go na koncert do Holliday Spring. Potem do swego hotelu. Przeżyli cudowne dwa tygodnie. Naukowiec nie pamiętając o bożym świecie tylko co pół godziny łączył się ze swym laboratorium i telefonicznie wydawał dyspozycje i wysłuchiwał raportów. W każdym razie te pół miesiąca i dwa lata narzeczeństwa wystarczyły, by zgodnie uznali życie bez siebie za niepodobieństwo.

- Will to w sumie fajny gość - zakończyła Lucy kwadrans rozterek, przystępując do doklejania sobie firanek rzęs.

Charakterystyczne owalne gmachy Instytutu Transplantacji wznosiły się nad Kanałem Zachodnim. W skład zespołu, obok wysokich budynków szpitalnych i biurowca, wchodziło jeszcze kilkanaście niższych obiektów. Docent William Holding zaparkował swego morrisa

na placu głównym i minawszy kilka kwietników skręcił do niskiego baraku, mieszczącego jego ukochane pracownie eksperymentalne. Na ustach czuł jeszcze ciepły smak szminki Lucy przypominający mu, nie wiadomo dlaczego, niedogotowany bób, który jadał w dzieciństwie na fermie stryja... Dawno to było, bardzo dawno... Przez moment przypomniał sobie łąki, po których krążył obserwując dzikie bażanty... Wszystko wtedy było takie proste. Nawet marzenia. Chciał zostać wielkim zoologiem... Odkrywcą na miarę Cuviera czy Darwina. Liczne kwiki dotarły do jego uszu. Mijał Magazyn Dawców, jak pompatycznie nazywano przyinstytutbwą chlewnię.

- Pora spać, współpracowniczk! - rzucił wesoło.

Nawiasem mówiąc, pomysł uczynienia z nierogaczyny podstawowych dawców transplantowanych organów stworzył zupełnie nowe perspektywy przed chirurgią. Skończyła się sytuacja, w której chorzy tygodniami oczekiwali na zastępczą nerkę, wątrobę czy serce. Cztery lata temu wstrząsnęło Williamem odkrycie dokonane na oddziale przygotowawczym. Podczas obchodu zauważył, że wszyscy chorzy pochłonięci są studiowaniem kroniki wypadków, a dwóch starszków pobiło się w trakcie dyskusji, komu bardziej należy się śledziona po świeżym samobójcy... Obecnie dzięki poczciwym świnkom takie wydarzenia były nie do pomyślenia. Za kolejny sukces uznano odkrycie „serum Holdin-ga” - preparatu uzyskiwanego z izotopowanej krwi kobiet ciężarnych. Dzięki szczepionce można było transplantować praktycznie wszystko wszystkim. Bariera immunologiczna została przezwyciężona, a William z prawdziwą satysfakcją mógł kartkować prywatny album swych pacjentów. Oczywiście przeglądał go w samotności ze względu na tajemnicę lekarską. Znajdowało się tam zdjęcie z dedykacją wiceprezydenta (przeszczepione hormony goryla Bobby), podziękowanie od dowódcy wojsk lądowych (aktualnego posiadacza wątroby wieprzowej) czy błogosławieństwo arcybiskupa (dwunastnica..., a zresztą dajmy spokój szczegółom!).

W pierwszych dniach tego roku zrealizowano najśmielsze z ludzkich marzeń: udany przeszczep mózgu!!!

„Czy oznacza to, że doszliśmy do progu nieśmiertelności? - z; i pisał owego wieczora w swym pamiętniku docent - a może posunęliśmy się zbyt daleko? Przecież mogąc przeszczepiać mózg coraz młodszym ciałom, będziemy w stanie utrzymywać świadomość człowieka przez parę pokoleń... Czy mamy do tego prawo, czy nie stworzy to pola do nadużyć? Czy nie będzie wyzwaniem rzuconym samej naturze... Bogu...?” - w tym momencie Holding zawahał się, nie należał do ludzi wierzących, ale swoje rozterki mógł zanotować używając wyłącznie wielkich

słów i pojęć ostatecznych. Jego koncepcja świata, acz nie idealistyczna, zawierała pewne pierwiastki pozamaterialne - wierzył w sprawiedliwość, w istnienie jakiejś nadrzędnej moralności, która sprawia, że dobro prędzej czy później musi być nagrodzone, a zło ukarane. Czyż on sam nie był tej tezy najlepszym przykładem? Jego wytrwała praca zaowocowała - przyniosła mu sukces, sławę, pieniądze.

„Im większe odkrycie, tym większa odpowiedzialność odkrywców”

— zakończył notatkę.

Od tego czasu minęły trzy miesiące. Dokonano dalszych zabiegów. A kolejne eksperymenty w Sektorze G mogły przynieść nowe osiągnięcia. Drzwi do swej pracowni zastał uchylone.

- Dziwne. O tej porze nie powinno tu być nikogo. A jednak w gabinecie paliło się światło. Wszedł.

- Cześć, Will!

- Cześć, Frank! Przyszedłeś popracować?

Za jego biurkiem siedział doktor Franklin O'Hara. Jak zwykle ubrany ze swą normalną, nieco nonszalancką elegancją, zawsze comme il faut... Tym razem w powietrzu unosił się zapach alkoholu... Czyżby współpracownik pił w pracy?

- Miałem do ciebie parę spraw, szefie... A wiedziałem, że przed odjazdem wpadniesz do laboratorium. Czekałem. . - Doskonale mnie znasz - uśmiechnął się docent. - O co chodzi?

- Wyjeżdżasz na miesiąc do tej stacji badawczej, może być parę ważnych spraw, potrzebuję twoich upoważnień. Gdybyś mógł...

- Nie będziemy teraz zajmować się biurokracją. Podpiszę ci kilkanaście kartek in blanco. Wiem, z kim pracuję... - rzekł Holding.

- Aha, jeszcze jedno. Jak porozumieć się z tobą, gdyby...?

- Wiesz doskonale, że Sektor G jest odcięty od świata i pilnowany przez wojsko... Będę co pewien czas telefonował do Instytutu. Zresztą na czas mojej nieobecności większością spraw ma zawiadywać doktor Amoidson. A teraz pozwól, muszę jeszcze posprawdzać parę wyników...

- Ośmieliłem się przynieść mały prezent... Na strzemiennego - O'Ha-ra wydobyl niespodziewanie spod biurka butelkę martella...

- Dziękuję, nie piję przed podróżą! - zaproponował Holding.

- Tylko jeden kieliszek na powodzenie - nalegał dziwnie podniecony O'Hara. - Chciałem przy okazji powiedzieć ci coś o Lucy...

- O Lucy? - zainteresował się docent i bez zastanowienia wychylił podany kieliszek.

W Instytucie mało wiedziano o prywatnym życiu Franka. Choć niejedni podejrzewali, że pod spokojną maską pracownika naukowego krył się piekielny temperament. Chodziły plotki, że ten szanowany doktor wymyka się nocami, by nurkować w nocnym życiu Holliday Spring. To by tłumaczyło jego nieustanne długi. Samemu Holdingowi był winien parę tysięcy. Pierwsze spotkanie Lucy i O'Hary na kolacji u docenta też przebiegało nietypowo.

- My się znamy - powiedział z szerokim uśmiechem Frank.

- Nie sądzę! - fuknęła panna Crawford nastroszona jak jeżozwierz.

A jednak musieli się znać. Kiedyś w domu narzeczonej wpadł do ręki Williamowi jakiś list, na którym poznał pismo swego współpracownika. Nie zdążył przyjrzeć się dokładniej, bo Lucy w skoku dzikiej kotki wyrwała mu kartkę z ręki i zmiąwszy cisnęła w kominek.

Jednak rozwijające się w zawrotnym tempie uczucie przytłumiło obawy. Lucy unikała Franka, on normalnie pewny siebie łytał na nią z pozycji nie lubianego psa. Teraz jednak... Co oznaczały te dziwne wypieki na jego twarzy? Ani chybi alkohol...

- Słucham, co chcesz mi powiedzieć?

O'Hara zaczął mówić. Czy jednak artykułował niewyraźnie, czy świadomie zacierał słowa, w każdym razie Holding nic nie rozumiał. Jednocześnie światło stało się jaskrawe, a wszystkie kontury zamazane.

Cholera, urznąłem się jednym kieliszkiem martella, wstyd - pomyślał. Chciał zapytać, co się dzieje, ale powiedział coś zgoła innego:

- Kocham Lucy! Za trzy miesiące nasz ślub.

- Jesteś tego zupełnie pewien? - słowa doktora dochodziły jakby z głębokiej studni...

Nie odpowiedział, nie mógł. Wszystko się pomieszało.

- Chodź, Hans - on już jest gotów! - powiedział Frank O'Hara.

Docent leżał nieruchomo, przywiązany do stołu operacyjnego równie mocno jak farmer do swojej ziemi. Był ciągle ogłuszony. W oczy biły mu reflektory, a między nimi majaczyły jakieś dwie postacie. William nie mógł zebrać myśli.

- Spokojnie, stary. Mamy bardzo dużo czasu... Nie doceniałeś nigdy moich kwalifikacji, gardziłeś swoim starszym kolegą. Docenisz teraz rączki Hansa... - dudnił znajomy głos.

- Co się stało? - wyjąkał Will. Wokół czaszki czuł dziwny chłód. - Po co golicie mi głowę?

- Zaraz Hans ogoli również moją - zaśmiał się głos należący do Franka.

- Zwariowaliście! - zaskoczenie było ciągle większe od strachu. - Co chcecie zrobić, nastraszyć mnie? To udało się wam. Ale jeśli chcecie mnie okaleczyć, nie ujdzie wam to płazem...

- Co chcemy - O'Hara zachichotał - chcemy ciebie, przyjacielu, twojego nędznego cherlawego ciała, które za trzy miesiące poślubi piękną piosenkareczkę, które odbierze za ciebie Nagrodę Nobla i będzie brylowało w Instytucie z moim mózgiem.

Nadal nie w pełni wszystko rozumiał. Może jedno, że przepadł.

- Cholernie ciężko robić taki zabieg bez pielęgniarek, ale dam radę, w końcu mamy automatyczną aparaturę - zahuczał bas Hansa Weissensteina.

- Przestańcie żartować - jęknął Holding. - Może ty chcesz być mną, Frank, ale ja nigdy nie będę tobą...

- I nie będziesz. Po zabiegu moje ciało zostanie zniszczone przez Hansa... Znasz te wielkie młyny paszowe... Nierogaczna otrzyma dziś więcej kalorii... Ciebie natomiast spotka to, co dawno ci się należało.

Holding szarpnął się. Na próżno. Weissenstein z diabelskim uśmiechem wbił strzykawkę z narkotykiem.

- Żegnaj, docencie! Bezradnie runął w przepaść narkozy.

Szary świt wisi nad kanionem... Brama i budki strażnicze wskazują, że dalej znajduje się poligon biologiczny. Na tabliczce poza nazwą „Sektor G” nie ma żadnego napisu.

Przed bramą zatrzymuje się datsun combi ze znakami Instytutu Transplantacji.

- Docent Holding? - wartownik pytająco patrzy na kierowcę...

- Nie, doktor Weissenstein, ale mam upoważnienie..., szef trochę źle się czuje, nie chciał jednak przerywać cyklu badań. Zastąpię go przez kilka dni, zanim nie dojdzie do siebie...

Wartownik przegląda papiery.

- A gdzie docent?

Chirurg wskazuje nosze w tyle samochodu. Obok stoją skrzynie z preparatami.

- Śpi... w laboratorium był mały wybuch... ale nic mu nie grozi. Za parę dni będzie w pełni sił.

- Oby tak było - wartownik przygląda się twarzy śpiącego i uśmiecha się. Zna doskonale Holdinga i wie, że teraz wszystko się zgadza... Przycisk uruchamia bramę i datsun wtacza się na teren Sektora G.

Głuchy ból pulsował we wszystkich zakamarkach jego organizmu. William budził się wolno, bardzo wolno. W żaden sposób nie potrafiłby określić, jak długo trwał jego sen. Tydzień? Wieczność.

- Ja żyję - uświadomił sobie wreszcie. Ale jeszcze sporo czasu upłynęło, zanim zaczęły funkcjonować jego zmysły. Długo nie czuł dotyku, zimna, ciepła. Słyszał wyłącznie bicie własnego serca. A jednocześnie wraz z powracającą przytomnością pojawiły się doznania nowe - wrażenie obcości całej jego istoty, dziwna ociężałość, swędzenie. Któregoś dnia

otworzył oczy - nieregularne plamy przeobraziły się z wolna w kształty geometryczne - dojrzał kafelki na ścianach, małe żelazne okienko.

I znów to okropne swędzenie... chciał się podrapać po twarzy. Nie mógł. Zamiast ręki zobaczył jakiś obcy kikut... zakończony kopytkami! Uniósł głowę...

- To musi być koszmarny sen!

Jego skóra była twarda, bladoróżowa. Goła. Ogarnęło go olbrzymie pragnienie. W kącie pomieszczenia dostrzegł podłużne naczynie z wodą. Chciał wstać, ale to okazało się niemożliwe. Doczłgał się nad skraj koryta.

- Chryste Panie! - Woda odbijała niczym lustro. Dokładnie. Wszystko! I różowy wychudzony ryj, i zmierzwioną szczecinę, i krótkowidzące oczki pozbawione okularów. Zrozumiał!

- Jestem świnią. Przeszczepili mój mózg w dało świni. Świnie! Żalсны kwik rozdarł ciszę, a smutny ryj zanurzył się z wolna w głąb koryta, jakby tam poszukiwał dalszego dągu.

Doktor Hans Weissenstein uzbrojony w stalowy drąg otworzył żelazne masywne drzwi. Z wnętrza doleciał odór chlewni... W kącie pomieszczenia wychudła maciora uniosła łeb z posłania. Nad uszami widać było głębokie świeże blizny. Chirurg zamknął za sobą zasuwę i trącił nieszczęsne zwierzę drągiem.

- No i co, pan powie, panie docencie?

Od czasu zabiegu upłynął przeszło miesiąc. Młodszy pracownicy zajmujący się eksperymentem 123/52 nie sygnalizowali niczego specjalnego. Od pewnego czasu transplantacje mózgow wśród świń nie były żadną nowością. Chociaż w tym przypadku po okresie intensywnej reanimacji, kiedy zwierzę odzyskało wreszcie przytomność, zamiast wzmożonego wigoru opanowała je apatia. Świnka niechętnie przyjmowała pożywienie... Dokładniejszych badań jednak nie podejmowano ze względu na specjalne polecenie Weissensteina, który zastrzegł, że osobiście odpowiada za badany okaz. A zatem od chwili oprzytomnienia maciory nikt z kadry naukowej nie wchodził do komórki Holdinga. Z tej strony nie groziło żadne niebezpieczeństwo zdemaskowania.

Dwa pierwsze tygodnie spędzone w Sektorze G u boku Franka O'Hary, a właściwie jego mózgu w ciele docenta, były dla chirurga okresem trudnym. Dwukrotnie wpadał w panikę, że przeszczep zostanie odrzucony. I dwukrotnie rewelacyjne serum ratowało żyde wiszące na włosku. Miesiąc po zabiegu „uzurpator” doszedł na tyle do siebie, że mógł stanąć na nogi, a w parę dni później Hans wrócił do Instytutu.

- Pamiętaj, nikt nie może się dowiedzieć o naszej akcji - wielokrotnie powtarzał Frank - wiesz, jakie miałyby to konsekwencje...



Weissensteinowi nie trzeba było tego mówić. Tym bardziej, widząc teraz wszystko w najlepszym porządku, pokraśniał z zadowolenia i ponownie szturchnął maciorę.

- No, rusz się pan, panie docencie. Troszkę gimnastyki nie zawadzi. To wzmacnia apetyt.

. Holding usiłował coś odpowiedzieć, zripostować, ale z pyska dobyło się tylko nieartykułowane chrząknięcie. Nawet uczeń pierwszego roku biologii wie, że nierogacizna nie posiada rozwiniętych strun głosowych...

- Chciałeś coś powiedzieć? - zachichotał chirurg - szkoda wysiłków, kochany docentuniu...

Pardon, właściwie powinienem nazywać cię panią docent, madame - tu Weissenstein skłonił się błazeńsko - jesteś wszak świnką płci pięknej... A chrząkaj sobie, chrząkaj. U nas w chlewni panuje całkowita swoboda wypowiedzi. Wyobrażam sobie, jak mimo wrodzonej kultury mnie przeklinasz... Przeklinaj lepiej swój los... Ejże, ejże, słuchaj mnie...

Ponieważ świnka odwróciła się tyłem, znów dźgnął ją drągiem.

- Troszkę uwagi, gdy pan mówi... A wiesz, droga przyjaciół-k o, zastanawialiśmy się poważnie z Frankiem, czy cię nie rozmnożyć... Ale doszliśmy do wniosku, że szkoda knura... Zresztą co dobrego mogłoby wyniknąć z tego mezaliansu? Prosiaki w okularach, z dłońmi zamiast kopytek...?

• W oczach zwierzęcia płonął ogień. A co działo się w mózgu docenta? Wściekłość pomieszana z rozpaczą, nienawiść z politowaniem. Dominował gniew.

- Bydlaku. I ja mianowałem cię starszym chirurgiem w Instytucie. Mimo przestróg przyjaciół, rad Lucy... mimo tych wszystkich informacji, które mam o tobie. Reputacja i praktyka znakomitego fachowca przysłoniły mi fakt, że byłeś karany za sadyzm, za znęcanie się nad zwierzętami... Dwukrotnie tuszowaliśmy twoje ekscesy z kobietami! Łajdak, łajdak!

Gdyby doktor Hans mógł słuchać tego wewnętrznego monologu, byłby z pewnością zadowolony. Jego konstrukcję psychiczną tworzył koktail sadyzmu i masochizmu. Lubił bić, ale jednocześnie uwielbiał być znieważany... Wielokrotnie podwajał stawkę w rewanżu za najbardziej plugawe wyzwiska, jakimi obdarzały go Lola Kluczyk, Diana Chętna czy Róża Prędkocięła.

Tym razem wydawało mu się, że świnka nie dość cierpi. Postanowił zaaplikować końską (czy raczej świńską) dawkę.

- Aha, na śmierć byłbym zapomniiał, docenciku. Przyniosłem ci zaproszenie na ślub Lucy i Franka - pardon, docenta Williama Holdinga - który odbędzie się czerwca. Niestety wstęp będzie tylko dla gości ubranych wieczorowo, a dla ciebie chyba nie zdążymy uszyć

garniturę... Ale nie martw się, droga wieprzowa przyjaciółko, zawsze będziesz mogła stać się ozdobą ślubnego stołu... Szkoda, że nie łoża...

Zaśmiewając się Weissenstein odstawił drag i bił się dłońmi po kolanach. Świnka zauważyła to.

- Spokojnie, docencie, stój! krzyknął Hans, ale podcięty przeszło dwustukilogramowym cielskiem stracił równowagę, przewrócił się, a świńskie zęby błysnęły mu nad gardłem. Nie na darmo w młodości Will Holding był przez tydzień członkiem sekcji dzudo! Śmierć w kształcie ryja zajrzała w oczy chirurga.

- Daruj! Daruj! - zawył...

- Już ja ci daruję - pomyślał docent, atoli ostry krwotok z niezupełnie zagojonej rany przeszkodził w zemście. Hans odturiał się i wypadł zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Młodszy pracownicy baraku eksperymentalnego mówili, że biegł centralnym korytarzem krzycząc:

- Do rzeźni z tą świnią, do rzeźni!

Być może sprawy przybrałyby zupełnie inny obrót, gdyby nie nagłe wezwanie z Sektora G. Docent Holding, w którym - jak perła w małży - tkwił O'Hara, znów poczuł się źle i zażądał przybycia współnika. Hans pojechał prawie natychmiast, nie wydając żadnych dodatkowych poleceń.

Tymczasem w okresie nieobecności docenta placówką eksperymentalną opiekował się doktor Arnoldson, mały, czarny, ruchliwy i bardzo operatywny naukowiec. Zająć miał sporo, bo tego samego dnia, w którym Holding wyjechał na badania, zniknął doktor Franklin O'Hara.

Dyrektor Generalny Instytutu nie dość, że zlecił wszystkie sprawy O'Hary Arnoldsonowi, ale również polecił mu zbadać szczegóły tego niezwyklego przypadku porzucenia pracy.

Według wszystkich dostępnych świadectw O'Hara w dniu 14 marca dosłownie ro/płynął się w powietrzu. Policja nie trafiła na żaden ślad. Nikt nie rozpoznał jeno fotografii na dworcach i w biurach wynajmu samochodów, nie znaleziono go wśród zwłok zmagazynowanych w kostnicach. A więc musiał jakoś opuścić Holliday Spring...

Z drugiej strony wszystkie swoje sprawy pozostawił najzupełniej uregulowane, jak człowiek od dawna przygotowany do wyjazdu lub zdecydowany na popełnienie samobójstwa. Mieszkanie było zwolnione i opłacone, konto wyczyszczone do zera, rzeczy zabrane.

List zaadresowany do Dyrektora Generalnego obok przeprosin zawierał rezygnację z piastowanego stanowiska. Było tam parę słów o ogólnym zwątpieniu, o chęciach zmiany dotychczasowego trybu życia.

Nie trzeba dodawać, że autentyczność listu została ponad wszelką wątpliwość udowodniona...

Paru pracowników bliżej zaprzyjaźnionych z O'Harą zeznało, że w istocie od dłuższego czasu wspominał on o planach rezygnacji z kariery naukowej. Jak zwykle zaroilo się od plotek wahających się między koncepcją samobójstwa a podróży dookoła świata. Bliższej rodziny doktor nie miał. Powoli wątpliwości przyschły i powszechnie zaakceptowano wersję, że naukowiec wyjechał nie podając nowego adresu. Miał do tego zresztą pełne prawo, żył w kraju, w którym nie istniały przepisy meldunkowe. Arnoldson szybko wciągnął się w rolę interrexa. Szło mu tym łatwiej, że znakomicie wyszkolony personel działał jak doskonale na regulowany zegarek i nie wymagał ponagłania. Jednym z ważniejszych problemów do rozstrzygnięcia była okresowa selekcja w Banku Dawców...

Dwa dni po przygodzie Weissensteina, która omal nie skończyła się dla niego tragicznie, przybył nowy transport nierogacizny. Część gorszych egzemplarzy z dotychczasowego inwentarza musiała być odesłana. Arnoldson podpisał stos jednoznacznych papierów, po czym zwrócił się do asystenta:

Co zrobimy / 123/52...? - egzemplarz z upoważnienia docenta Holdinga znajdował się pod osobistą opieką Weissensteina.

- Doktor polecił oddać świnię na ubój... - rzekł asystent. - Zdaje się, że to okaz nieudany. Po transplantacji zwierzę zrobiło się nerwowe i niebezpieczne. Nie będzie z niego pożytku.

- Jeśli Weissenstein tak zdecydował, to w porządku - powiedział Arnoldson. I podpisał.

W tym samym czasie dwaj współnicy przebywający w odległym o wiele mil „Sektorze G” delectowali się myślą, ile jeszcze wymyślnych tortur intelektualnych zadadzą zmaciorzonemu szefowi. A im bardziej czuli własną podłość, tym bardziej pragnęli się pastwić...

Jest to zresztą prawidłowość powszechnie znana.

Sypnęły się brawa. Lucy wyszła jeszcze raz w świetlisty krąg reflektora i ukloniła się. Wybiegły rozebrane topleski oraz downleski i zastygły w pastiszowym obrazie z „Bajora Łabędziego”.

- Ciekawe - pomyślała piosenkarka otulając się superażurowym peniuarem - co oni tak oklaskują, mój głos czy ciało?

Za kulisami panował zwyczajny harmider: Duo Tilito przygotowywało się do numeru z kożą, a skrzypek smarował sobie coś kalafonią... Atoli w drzwiach awaryjnych poznała charakterystyczną sylwetkę...

- Will, wróciłeś!

Podbiegła roztrącając rozplotkowane charakteryzatorki. Docent Holding stał na progu w nowiuteńkim garniturze (to pewnie ten, który obstał sobie na ślub) i sprawiał wrażenie zakłopotanego...

Wtuliła się w niego głębokim pocałunkiem. Przez moment uczuła dziwny chłód, może zbyt mocny zapach wody kolońskiej...

- Coś nie w porządku, kochanie?

Pokręcił głową, unikając spojrzenia prosto w oczy.

- Znalazł sobie inną? - pomyślała Lucy, ale w tym momencie dostrzegła głębokie blizny w krótko ostrzyżonych włosach.

- Co ci się stało? - powtórzyła.

Jej narzeczony uśmiechnął się i nagle zupełnie rozluźniony zaczął opowiadać o wypadku, który zdarzył się w laboratorium, wypadku w gruncie rzeczy niegroźnym, który dzięki opiece doktora Weissensteina nie będzie miał żadnych następstw.

- Co najwyżej trochę zmieni mi się charakter, będę spokojniejszy

- zażartował na koniec.

Panna Crawford ucałowała go jeszcze raz.

- Poczekaj, tylko coś narzucę i zaraz pojedziemy do mnie - szepnęła.

Nie masz pojęcia, jak się za tobą stęskniłam.

O'Hara bał się. O ile spotkanie w Holliday Spring wypadło zadowalająco, o tyle przybliżająca się noc w willi Lucy kryła w sobie setkę pułapek, z których każda mogła skończyć się wyspą.

Nie znał drogi do jej mieszkania, rozkładu pokojów, nie wiedział o licznych upodobaniach Lucy, a nade wszystko nie miał pojęcia, jak docent Holding zachowywał się w łóżku.

Analiza postępowania na sali wykładowej nie mogła być w tym względzie żadną pomocą...

Z prowadzenia samochodu wykręcił się wspominając o ciągle świeżym urazie spowodowanym wypadkiem.

- Nic nie szkodzi, ja cię zawiozę! - zawołała entuzjastycznie Lucy.

W mieszkaniu starał się przepuszczać ją przodem i rejestrować różne cenne informacje, jak: wyłącznik światła za szafą, toaleta na prawo. kuchnia na lewo...

Włącz muzykę, a ja pójde się wykąpać - zadysponowała gospodyni.

Proste polecenie, ale fałszywy docent spocił się jak mysz, zanim odnalazł magnetofon przemyślnie ukryty w regale. Przy okazji odkrył barek.

Upiję się. Upiję się na umór... - dzięki temu będę miał jedną noc z głowy - pomyślał. Z łazienki dolatywał jednostajny szum. O'Hara wypił duszkiem klubową whisky i popił likierem... zemdlilo go, chwycił się anyżówki. a ponieważ pogorszyło to jeszcze sytuację, przez rum wrócił do czystej wódki... Odczuwając mocne uderzenia do głowy, pogrążył się w fotelu i po raz pierwszy tego nerwowego dnia pomyślał o Lucy... Nie umyjesz mi pleców jak zwykle? dobiegło z łazienki.

- Już biegnę!

- Dawniej wołałeś: „leczę jak szczygiełek”.

Do kroćset, skąd miał wiedzieć, że docent z wyglądu surowy jak katedra, z za której wykładał, w domu lubił bawić się w szczygiełka. W łazience o kafelkach przedstawiających holenderskie młyny, których skrzydła ktoś wystylizował na organy (i to nie porządkowe), było parno i pienieście. Aliści nie dość parno, by nie widzieć w całości kształtów Lucy, za które bywalcy Holliday Spring płacili trzydziestoprocentowy dodatek do konsumpcji...

- Jeszcze ubrany? - zdziwiła się dziewczyna - co tak patrzysz, jakbyś mnie widział pierwszy raz w życiu?

- Bo ja cię widzę pierwszy... - Tu Frank zorientował się, że jeszcze chwila, a alkohol wyzwoli w nim nadmierną szczerość, opanował się

- widzę... pierwszy raz od dwóch miesięcy.

- Wypościłeś się, szczygiełku - zaśmiała się cała w zapachu żywicz-no-ananasowym... - No więc dalej... Co ci, śpisz? Na stojąco, w ubraniu...?

Obudził się z piramidalnym kacem. Oczywiście nie pamiętał niczego, ale pieszczoty Lucy przyjął z godnością.

- Byłeś wspaniały - entuzjasmowała się panna Crawford - troszkę nietrzeźwy, ale to ci bardzo dobrze zrobiło. Dlaczego wcześniej nie zacząłeś pić? Straszny kogut - zachichotała - a jakie przy tym głupoty opowiadałeś...

- Co mówiłem? - spytał czujnie.

- W ogóle nie słuchałam... Plotłeś coś o Franku O'Harze... o jakiejś maszynie do mielenia paszy... A przecież on podobno wyjechał?

- Oczywiście, najdroższa. Wyjechał. Jestem pewien, że lada dzień otrzymam od niego list. Co jeszcze mówiłem?

- Nie pamiętam! Najważniejsze, że jesteś taki cudowny... Inny...

- Mylisz się, jestem taki sam! - zaprzeczył gwałtownie.

- Ależ nie. Stałeś się rozkosznie nonszalancki... I masz takie pomysły

- zachichotała. - Podoba mi się to... Czegoś ty się nauczył na tym poligonie! I od kogo?

Pocałował ją, by nie udzielać odpowiedzi. Pieścili się przez jakiś czas, a potem Frank zadał pytanie, które było w tym momencie dla niego najważniejszym pytaniem na świecie:

- Mówisz, że się zmieniłem?

- Tak, i to jest fajne.

- No dobrze, a powiedz, co by się stało, gdybym był znów taki jak przed dwoma miesiącami? Gdyby było nas dwóch do wyboru?

- Wybrałabym ciebie!

Aliści docent William Holding sprzed dwóch miesięcy nie mógł zjawić się w willi Lucy. Bydłęcym kontenerem kolejki towarowej sunął w kierunku zautomatyzowanej tuczami, którą za niecałe trzy miesiące będzie musiał opuścić jako puszczonek z napisem „Excellent Ham” ewentualnie „Konserwa turystyczna”.

Po walce z Weissensteinem świnka nabrała ochoty do życia. Dramatyczny epizod dał jej okruczeństwo nadziei, podsunął myśl, że nie wszystko stracone, a przede wszystkim przywrócił apetyt. Toteż trzy dni potem, kiedy na mocy decyzji Arnoidsona załadowano ją do kontenera, był to zupełnie inny okaz. Czworonożni współtowarzysze podróży ze zdumieniem patrzyli, jak ujmując w przednie raciczki kawałek szmaty zajmuje się kosmetyką ryja lub nie mogąc wytrzymać w smrodzie, przeciska się do okienka.

No i co się gagicie, siostry? I wam przydałoby się trochę higieny. Ech, żebyście mnie rozumiały - myśli docent i chrząkaniem usiłuje zainteresować resztę świnek. - Posłuchajcie, mam plan. Jak dojedziemy na miejsce, rzucimy się na strażników... A jeśli będzie to sortownia automatyczna, przegryziecie przewody elektryczne. Jasne?

Niestety nikt nie reaguje. Wymowne kwiki nie są zrozumiałe dla współbraci. O ile istnieje jakiś kod wieprzowego porozumienia - Holding go nie zna.

- Ech, nierogacizno durnowata. Nie masz w sobie za grosz woli walki. Nie rozumiesz, co to jest wolność?!

Wielki knur pogardliwie chrząknął na łaciatą buntowniczkę, a olbrzymi ryj zdawał się odpowiadać:

- Jesteś obca, agitować możesz sobie gdzie indziej, nasza tuczniowa filozofia nie pozwala przeciwstawiać się przeznaczeniu.

Zadzwoił telefon. Natarczywie. Raz, drugi. Neo-Holding ocknął się z regeneracyjnej drzemki. Dochodziło południe. Lucy płała się w łazience... Kobieta-foka - pomyślał - który

to raz dzisiaj?... Obolałą, skacowaną głowę znów zaatakował dźwięk dzwonka. Frank podniósł słuchawkę.

- Słucham, O'Ha... - zaczął machinalnie.

- Mówi Hans - przerwał mu ochryply bas.

- Prosiłem cię, żebyś tu nie dzwonił - rzekł Franklin ścisząc głos - pamiętaj, nie byliśmy nigdy w stosunkach przyjacielskich. ' - Telefonuję, bo jest niedobrze.

- Co się stało? Mów jaśniej!

- 123/52... Nie ma!

- Uciekł... znaczy uciekła? - O'Hara spocił się w mgnieniu oka.

- Dwa tygodnie temu, kiedy byłem w Sektorze G, omyłkowo wysłano ją do tuczami. Parę tygodni wcześniej rozzłościłem się i groziłem zwierzęciu przy pracownikach, jakiś cymbał poczytał to za dyspozycję... Ale będę próbował ją odnaleźć...

- Wstrzymaj się, Hans. Najpierw musimy się naradzić... Spotkajmy się... spotkajmy...

- Może w barku?

- Nie! nie! nie! - zawołał pośpiesznie - zobaczymy się o piątej, w parku nad Kanałem.

- Bardzo dobrze - powiedział chirurg - mam jeszcze i inne sprawy.

Było w jego tonie coś, co zaniepokoiło Franka. Nie miał jednak czasu na zastanawianie się, z łazienki wyjrzała Lucy.

- Kto dzwoni, kochanie?

- Pomyłka - skłamał nadgorliwie, jak uczeń przyłapany na kłamstwie.

- Jak to pomyłka? - zdziwiła się Lucy - przecież wiesz, że budynek ma własną centralę. Pomyłki się nie zdarzają.

- Żartowałem, Lucy... To ci cholerni nudziarze z Instytutu. Jeszcze się tam nie zjawiłem po powrocie z badań. A czeka na mnie tysiące spraw.

- Myślałam, że dzisiejszy dzień spędzimy razem - zmartwiła się dziewczyna.

- Przed nami jeszcze tysiące dni, najdroższa!

Dziwna satysfakcja malowała się na twarzy Weissensteina spacerującego parkową alejką około godziny 17.05. Powód był prosty:

trzy minuty wcześniej celnym rzutem kamienia strącił z gałęzi łatwowiezną wiewiórkę.

Doktor Hans lubił takie nieskomplikowane zabawy. Kiedy jednak zza zakrętu wyłoniła się przygarbiona postać Holdinga, twarz brodatego olbrzyma przybrała obojętny wyraz.

- Cholerna praca, obsiedli mnie jak stado wron, myślałem, że już się nie wyrwę - powiedział przybysz, który w rzeczy samej nie miał łatwego popołudnia. O mały włos rozmowa z

Dyrektorem Generalnym nie. skończyła się wyspą. Frank nie miał pojęcia, że wraz z zamknięciem drzwi gabinetu Dyrektora Generalnego stosunki Holding - szef z urzędowych zmieniały się w towarzyskie. Na jego uniżone: „panie dyrektorze”, zwierzchnik zawołał:

- Co to, Will, już nie jesteśmy po imieniu?

Nie mniej zdrowia kosztowało go posiedzenie Rady Naukowej, dopiero wówczas zdał sobie sprawę z własnej niewiedzy. Wykazywał brak orientacji w kwestiach, które dla prawdziwego Holdinga były dziecinnie proste. Jego „roztargnienie” zapewne nie uszło uwagi czujnych oczu Arnoidsona. Toteż gdy na parkowej alejce dojrzał zwałistą sylwetkę współnika, O'Hara omal go nie uścisnął.

- Co zrobimy ze świnia? - zapytał Weissenstein przechodząc od razu ad rem - z tuczami można ją wydobyć, choć łatwe to nie będzie. Musielibyśmy przetestować wszystkie tuczniki pod kątem inteligencji...

- To zbyt cenne - Neo-Holding jakby się wystraszył - cieszymy się, Hans, że mamy już za sobą tę nieprzyjemną aferę. Osiągnęliśmy swoje cele. William ma za swoje, nie ma co go dodatkowo dręczyć...

- Na razie zrealizowaliśmy twoje plany. Franku, a gdzie przyjemność? - burknął brodac. O'Hara skrzywił się.

- Słuchaj, Hans, im mniej hałasu, tym lepiej - powiedział z naciskiem. - Szukanie świni, przywożenie jej z powrotem, trzymanie w Instytucie, w tym wszystkim kryje się spore ryzyko. A nuż ktoś zacznie niuchać...?

Weissenstein z wielkim niezadowoleniem musiał się zgodzić z tą argumentacją.

- Jak chcesz, ja bym zrobił inaczej...

- W ogóle powinniśmy się widywać jak najrzadziej, Holding nie żył z tobą w przyjaźni, nie utrzymywał kontaktów pozasłużbowych. Jeśli będziemy zbyt poufali wobec siebie, mogą powstać podejrzenia.

- Jakież? - chirurg prychnął gniewnie - zbyt jesteś bojaźliwy. Frank. Popołniając łajdactwo trzeba się w nim wytyłać do końca... Aha, chciałbym jeszcze porozmawiać o konkretach... Nie otrzymałem dotąd należytego ekwiwalentu.

- Czego ty jeszcze oczekujesz, Hans, załatwię ci lada dzień nominację na głównego chirurga...

- To cokolwiek za mało, ty zgarnąłeś wszystko: pozycję, pieniądze . docenta, jego babkę. Musimy podzielić się równiej, kochany!

- Oszalałeś, nie będziesz mnie przecież szantażować, jesteśmy w tej samej sytuacji.



- O przepraszam, ja jestem tylko wykonawcą zabiegu, ty zaś bezprawnym użytkownikiem ciała, które kiedyś może będziesz musiał zwrócić... Falszywy docent pobrał na całej powierzchni szczupłej twarzy.

- Czego ty właściwie chcesz?

Weissenstein bawił się jego lękiem, a kątem oka obserwował srokę przysiadłą na murze; gdyby miał tak jakiś kamyk...

- Czego chcesz? - powtórzył O'Hara...

- Mamy czas, dojdziemy do porozumienia. Na razie potrzebuję niewielkiej kwoty. A wracając do docenta, przez czas pobytu w tuczami też wycierpi swoje... Zabraliśmy mu ciało, narzeczoną, Instytut, ale pozostała mu godność osobista. Niech straci i to - potem może umrzeć!

Zautomatyzowana chlewnia jest naprawdę przepięknym i godnym podziwu obiektem. Przeszronne boksy, koryta napełniane przez fotokomórkę, ruchome podłogi ze zmieniającą się ściółką, platformy i pomosty dla obsługi mogącej z bliska obserwować proces tuczenia, a nawet telewizory, dzięki którym dozorczy mogą urozmaicać sobie czas oglądaniem filmów i dzienników.

Łaciaty docent trzyma się nieco na uboczu. Wie, że karmy zawsze starczy. Nie musi się tłoczyć. Myśli. Ciągłe myśli:

- Jeśli te kreatury sądziły, że mnie złamią myliły się. Umrę na czworakach, ale z godnością. A zresztą niemożliwe, żeby Lucy nie dostrzegła różnicy między mną a tym mydłkiem. Na pewno już przy pierwszym kontakcie rozszyfruje łajdaka i prędzej czy później zmusi go do wyjawienia prawdy. Lada dzień obydwaj dranie zostaną zdemaskowani...

Parę prosiąt potrąca go bezceremonialnie. Docent kwikiem usiłuje wyrazić dezaprobatę. Jakże chciałby powiedzieć tym parzystokopyt-nym:

- Przestańcie się pchać, koleżanki! Troszkę kultury... Po platformie spaceruje młody dyżurny z przenośnym telewizorkiem.

Lecą właśnie wiadomości, a ściślej mówiąc, kronika towarzyska. Obok niego maszeruje jego pomocnik.

- Popatrz, Ben - zauważa w pewnym momencie - widzisz, jak ta gruba wodzi za nami wzrokiem? Nic nie żre, tylko patrzy...

- A może chce oglądać telewizję? - śmieje się Ben - Naści, łaciata, popatrz sobie. To jest dziennik...

Wymuskani spikerzy licytują się informacjami. Co rusz lecą kolorowe montaż.

„W dniu wczorajszym odbył się ślub znanej aktorki Lucy Crawford i znakomitego naukowca docenta Williama Holdinga. Po ślubie państwo młodzi udają się na Wyspy Bahama, a następnie do Europy, gdzie wybitny transplantolog otrzyma Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny...

- Ty, patrz, co się dzieje? - woła nagle Ben - co robi ta maciora? Chce się utopić... Samobójstwo świni, tego jeszcze nie było.

W rzeczy samej zwierzę zanurzyło łeb w korycie i zastygło w bezruchu. Pracownicy zeskakując do boksu interweniują, wyciągają... Świnia kwicząc stawia zdeterminowany opór...

- Słyszałem o facecie, który po przegranym meczu wyrzucił telewizor przez okno, ale żeby z powodu niskiego poziomu programu popełniać samobójstwo... Ciekawe...

Orkiestra rżnie stare melodie z lat trzydziestych. Hiperretro... Piękny dom za miastem oświetlają reflektory... Dla szpanu wystrzelono również sztuczne ognie. Pan młody zadbał o oprawę uroczystości.

Nowoczesna willa to prezent dla Lucy. W ogrodzie jest jeszcze basen, za nim rosarium i fontanna. Goście czują się zupełnie swobodnie na tym rozległym terenie. Zdumieni obserwują gospodarza w nieznanym wcieleniu. Ascetyczny naukowiec przeistoczył się w dniu ślubu w szampańskiego playboya.

- Do twarzy mu z tym gestem - wzdycha doktor Jenny Clifford, stara panna z wytwórni surowic.

- A myślałem, że wiem o człowieku wszystko - mówi do siebie Dyrektor Generalny.

Arnoldson pykając z fajeczki w zamyśleniu przechadza się wśród skałek... Parę rzeczy nie mieści się w jego ścisłym umyśle. Ale czy warto się nad tym zastanawiać?

Doktor Weissenstein, którego zaproszenie zostało przyjęte z niemałym zaskoczeniem, kołysze się na hamaku w otoczeniu panien Arnoldson... Jest na sporym rauszu... Czasem bliźniaczki wydają mu się pięcioraczkami.

- Dużo mogę, dużo mogę - przechwala się tubalnie... - idę o zakład, że potrafiłbym zrobić z was jedną dużą... coś na kształt żyrafy... skalpel, odrobina cierpliwości i wystarczy...

Przechodzący obok pan młody posyła mu wściekłe spojrzenie. Cholerny kabotyn, gotów jeszcze się wygadać. Lucy promienieje. Ma na sobie łososiowy kostium z tak modnymi w tym sezonie piórkami. Lucy - panna młoda.

- Will, jaka jestem szczęśliwa - szepce, gdy tylko spotyka się z mężem, bezbłędnie spełniającym honory domu...

Na tarasie po drugiej stronie willi, w trzcinowym fotelu siedzi stary pan Holding; ma na sobie pasiasty garnitur, pamiętający zapewne pierwszą połowę wieku, garnitur, którego w żaden sposób nie chciał zamienić na coś modniejszego. Staruszek przybył na ślub syna z drugiego końca kontynentu. Ma sparaliżowaną nogę i ledwo słyszy. Jest bardzo wzruszony, choć wydawać się może, że nie obchodzi go cała ta hałaśliwa impreza. Milczy, wpatrując się w spurpurowiały horyzont...

Z synem rozmawiał krótko i zaraz potem dziwnie zdenerwowany wyniósł się na ten taras. Odburknął coś pannie CHfford, gdy usiłowała go zagadnąć o pogodę w jego rodzinnych stronach, i zasnął szczelnie otulony pledem, mimo że czerwcową noc jest ciepła i przyjemna...

Koło północy budzi się. Orkiestra niezmiernie piłuje nieśmiertelne standardy.

- Hej, młody człowieku - starszy pan przywołuje kręcącego się kelnera.

- Słucham, sir - młodzieniec zbliża się niezwłocznie...

- Tak zupełnie między nami, czyje wesele jest dzisiaj?

- Docenta Holdinga - odpowiada zaskoczony garcon.

- Docenta Holdinga... aha, to znaczy że jest gdzieś tutaj docent. Holding - szepce starzec - nigdy bym nie przypuszczał.

- Słucham pana? - pyta zdetonowany kelner. - Czy mam coś podać?

- Podać? Nie, dziękuję - i na wpół do niego, a na wpół do siebie dodaje - wielka szkoda, że nie ma tu nigdzie mojego syna. Ochrzaniłbym go jak nic.

Tuczamia urządzona była nowocześnie i estetycznie. Specjalne głośniki emitowały muzykę klasyczną, korzystnie oddziałującą na pensjonariuszy i powodującą szybszy przyrost żywej masy. Podobną rolę wyznaczono kolorowym planszom, przedstawiającym produkty wieprzowe. Plansze te miały przemawiać do ambicji nierogacizny. Ideowy sens obrazowych historyjek opracowanych przez animalnych socjologów można było streścić w paru hasłach wiszących dumnie na pawilonie dyrekcji: „Nie będzie z was mączki rybnej”, „Dobra karma - najwyższa jakość steków” itp., itp... Centralnie zawieszono malowidło, przedstawiające inseminatora siedzącego okrakiem na maciorze. Podpis głosił: „Przy inseminacji warto usiąść okrakiem na inseminowanej, nic to wprawdzie nie pomaga, ale świni zawsze jest przyjemniej!”

Oczywiście czytelnikiem tych reklamowych arcydzieł mógł być tylko jeden klient tuczami - docent William Holding.

Dzień po dniu pracowicie złościł karby na krawędzi koryta, czując, jak coraz szybszymi krokami zbliża się dla uczestników jego turnusu Dzień Masarza. - Ile dni mogło mi jeszcze zostać? - zastanawiał się. - Dziesięć, piętnaście? Cholernie tyję... I pomyśleć, nigdy

nie miałem specjalnych skłonności do tycia. Przeciwnie, byłem najszczuplejszym docentem środkowego Południa. Brak ruchu! Brak ruchu! Robię wprawdzie codziennie pompki, przysiady i szpagat, ale tłuszczuk się odkłada. A wolę nie myśleć o cholesterolu...

Za sobą miał już wielokrotne próby porozumienia się z towarzystwem z boksu. Niestety, tylko naraził się świniom, które instynktownie wyczuwając jego obcość, co dzień spuszczały mu manto... Doszło do tego, że musiał walczyć o dostęp do koyta. Nie poddawał się jednak. Pilnie trenował raciczki i ryj, doprowadzając je do niezwykłej sprawności. Po dwóch tygodniach umiał już odkręcać niektóre śrubki, a po miesiącu systematycznie „pożyczał” sobie z kieszeni roztargnionych dozorców najświeższe gazety. Nie ustawał w próbach porozumienia się z otoczeniem. Ilekroć przechodził któryś z dozorców, Holding babrał na betonie rozmaite napisy - „SOS... Help, I am a docent!”

Niestety, nadzorcy rekrutowali się z emigrantów i w znacznej części byli analfabetami... Tylko raz wydało się Willowi, że wzbudził zainteresowanie niejakiego Pedra, który przystanął przy boksie i głupawo wpatrywał się w napis.

- Te, łaciata, co tak ryjesz, truflki szukasz...? A może piszesz do mnie list miłosny...?

Mówił po hiszpańsku, ale Holding był przecież poliglotą... Z radosnym kwikiem przypadł do rąk Pedra. Ten odskoczył ze wstrętem.

- Won, won, głupia! Widzicie, na czułość jej się zebrało, świni głupiej... Od tego dnia mijał boks nie przystając, mimo że docent wypisywał cierpliwie: „Buenos dias, caramba” czy „Viva España!”

Według obliczeń Dzień Masarza miał nastąpić już za dwa tygodnie. Docent nie widział żadnych dróg ratunku. Rozkręcił wprawdzie parę śrub, ale musiał przyznać, że nawet wydostanie się z boksu nie załatwiłoby niczego. Z hali nie można było uciec. Wówczas podjął decyzję:

- Będę pościł.

Głodówkę zaczął od zaraz. Zdwoił również, przy pełnej dezaprobacie współplemieńców, swoje ćwiczenia gimnastyczne. W tydzień stracił trzydzieści kilogramów i zwiększył swoją niezwykłą zręczność.

Zaczęły się kłopoty. Miodowy miesiąc na Bahama, miesiąc, podczas którego śniade ciała nowożeńców lgnęły do siebie jak dwa kawałki magnesu, dobiegł końca. Holdingowie musieli wrócić do swej nowej willi i codziennych obowiązków.

Dużą sensację wywołała podana przez wszystkie ważniejsze agencje prasowe wiadomość o odrzuceniu przez znakomitego naukowca Nagrody Nobla. Docent nie przyjął jej bez podania przyczyn. W dziesiątkach spekulacji zastanawiano się, czy na decyzję wpłynęła

zadawniona antypatia do Skandynawów, niechęć do wynalazcy dynamitu czy może fakt, iż równocześnie nagrodę literacką otrzymał irlandzki Ormianin piszący po francusku w RPA. Najbardziej zdenerwowało to doktora Weissensteina.

- Oszalałeś, Frank, przecież umówiliśmy się, że połowa idzie dla mnie! Dlaczego nie pojechałeś do Sztokholmu?!!

- Neo-Holding wykręcał się jak mógł, a wreszcie rozbijając przyznał, że po pierwsze nie zna języka szwedzkiego, a co gorsza francuskiego, którymi prawdziwy docent władał niesłychanie biegle, a ponadto na razie woli unikać kontaktów ze środkowoeuropejskimi naukowcami

- wiceprezes Królewskiej Akademii był jednym z dawnych wykładowców Holdinga, a połowa postaci liczących się w europejskiej medycynie studiowała na tej samej uczelni co on...

- Bzdurne obawy! - ciskał się brodaty Hans - udaj chorobę, wyślij upoważnienie, przysła ci kopertę do domu... To całkiem ładna sumka.

- Wolę nie ryzykować - odpowiadał O'Hara.

Również w życiu domowym zaczęły się problemy. Już trzeciego dnia doszło do ostrej sprzeczki małżeńskiej.

- Co się stało z tobą, kochanie, dlaczego nie możesz przypomnieć sobie szyfru twego bankowego sejfu? - zaczęła Lucy.

- Przez ten cholerny wypadek co rusz natrafiam na niewytłumaczalne luki w pamięci, ale daję ci słowo, to minie.

- Mam nadzieję. Tym bardziej że i z twoją ręką nie jest najlepiej. Już trzeci czek wraca zakwestionowany. Naprawdę nie potrafisz podpisywać się jak dawniej? - ponieważ mąż milczał, pani Holding ciągnęła dalej: - Gdyby nie moje pełnomocnictwo do twojego banku, nie mielibyśmy z czego żyć...

- A właśnie, chciałbym żebyś wyjęła dla mnie dziesięć tysięcy, mam na oku pewną korzystną lokatę.

- Dziesięć tysięcy, teraz...? Obiecałeś, że najpierw kupisz dla mnie i wyremontujesz ten stary klub z 12 Alei... Zawsze marzyłam o własnym lokalu...

- Lucy, ja muszę mieć te pieniądze... - niemal krzyczy Frank

- zaciągnąłem już zobowiązania i teraz nie mogę się wycofać!

- To podpisuj się tak, żeby ci wypłacali! I chodź już na obiad. Marta przygotowała pyszne mózdzki wieprzowe.

O'Hara zzieleniał.

- Tylko nie mózdzek - szepnął, połykając powietrze niczym złowiony karp. - Mam uczulenie.

- Co ci się stało? Wczoraj nie chciałeś szyneczki, przedwczoraj zareagowałeś na stek jakby ci podano szaszłyk ze szczura... Nigdy nie wiedziałam, że masz uraz do wieprzowiny. Will. Czy to kwestia przekonań?

- Przestań, Lucy!

- Wieprzowinka, wieprzowinka! - przedrzeźniała go jak dziecko.

- Nie, nie chcę, nie mogę!

Uciekł do toalety. K-lęcząc nad muszlą konstatował, że wszystko było znacznie trudniejsze, niż tego oczekiwał. Przeszłość atakowała go na każdym kroku. Weissenstein coraz natarczywiej domagał się pieniędzy, życie się komplikowało, gmatwało...

Najgorsze były noce, dziwaczne sny, w których przeżywał makabryczne zdarzenie. Nieraz zrywał się z krzykiem.

- Obudź się, kochany, obudź! - tarł go wówczas Lucy - coś ci się śniło, najdroższy? Przytomniał.

- Nie, nic nie pamiętam - odpowiadał.

- Rzucałeś się na łóżku, wołałeś „ostrożnie, Hans, z moją przysadką!”

- Niemożliwe...

- A potem - chichotała żona - nie uwierzysz, ale zaczynałeś kwiczeć.

- Co takiego?!

- Kwiczałeś wspaniale, jak najlepszy parodysta. No zrób to jeszcze raz...

Zaczęły się kłopoty. Miodowy miesiąc na Bahama, miesiąc, podczas którego śniade ciała nowożeńców lgnęły do siebie jak dwa kawałki magnesu, dobiegł końca. Holdingowie musieli wrócić do swej nowej willi i codziennych obowiązków.

Dużą sensację wywołała podana przez wszystkie ważniejsze agencje prasowe wiadomość o odrzuceniu przez znakomitego naukowca Nagrody Nobla. Docent nie przyjął jej bez podania przyczyn. W dziesiątkach spekulacji zastanawiano się, czy na decyzję wpłynęła zadawniona antypatia do Skandynawów, niechęć do wynalazcy dynamitu czy może fakt, iż równocześnie nagrodę literacką otrzymał irlandzki Ormianin piszący po francusku w RPA. Najbardziej zdenerwowało to doktora Weissensteina.

- Oszalałeś, Frank, przecież umówiliśmy się, że połowa idzie dla mnie! Dlaczego nie pojechałeś do Sztokholmu?!!

Neo-Holding wykręcał się jak mógł, a wreszcie rozbraj aj ąco przyznał, że po pierwsze nie zna języka szwedzkiego, a co gorsza francuskiego, którymi prawdziwy docent władał

niesłuchanie biegle, a ponadto na razie woli unikać kontaktów ze środkowoeuropejskimi naukowcami - wiceprezes Królewskiej Akademii był jednym z dawnych wykładowców Holdinga, a połowa postaci liczących się w europejskiej medycynie studiowała na tej samej uczelni co on...

- Bzdurne obawy! - ciskał się brodaty Hans - udaj chorobę, wyślij upoważnienie, przyślą ci kopertę do domu... To całkiem ładna sumka.

- Wolę nie ryzykować - odpowiadał O'Hara. Również w życiu domowym zaczęły się problemy. Już trzeciego dnia doszło do ostrej sprzeczki małżeńskiej.

- Co się stało z tobą, kochanie, dlaczego nie możesz przypomnieć sobie szyfru twego bankowego sejfu? - zaczęła Lucy.

- Przez ten cholerny wypadek co rusz natrafiam na niewytłumaczalne luki w pamięci, ale daję ci słowo, to minie.

- Mam nadzieję. Tym bardziej że i z twoją ręką nie jest najlepiej. Już trzeci czek wraca zakwestionowany. Naprawdę nie potrafisz podpisywać się jak dawniej? - ponieważ mąż milczał, pani Holding ciągnęła dalej: - Gdyby nie moje pełnomocnictwo do twojego banku, nie mielibyśmy z czego żyć...

- A właśnie, chciałbym żebyś wyjęła dla mnie dziesięć tysięcy, mam na oku pewną korzystną lokatę.

- Dziesięć tysięcy, teraz...? Obiecałeś, że najpierw kupisz dla mnie i wyremontujesz ten stary klub z 12 Alei... Zawsze marzyłam o własnym lokalu...

- Lucy, ja muszę mieć te pieniądze... - niemal krzyczy Frank - zaciągnąłem już zobowiązania i teraz nie mogę się wycofać!

- To podpisuj się tak, żeby ci wypłacali! I chodź już na obiad. Marta przygotowała pyszne mózdzki wieprzowe.

O'Hara zzieleniał.

- Tylko nie mózdzek - szepnął, połykając powietrze niczym złowiony karp. - Mam uczulenie.

- Co ci się stało? Wczoraj nie chciałeś szyneczki, przedwczoraj zareagowałeś na stek jakby ci podano szaszłyk ze szczura... Nigdy nie wiedziałam, że masz uraz do wieprzowiny. Will. Czy to kwestia przekonań?

- Przestań, Lucy!

- Wieprzowinka, wieprzowinka! - przedrzeźniała go jak dziecko.

- Nie, nie chcę, nie mogę!

Uciekł do toalety. Klęcząc nad muszlą konstatawał, że wszystko było znacznie trudniejsze, niż tego oczekiwał. Przeszłość atakowała go na każdym kroku. Weissenstein coraz natarczywiej domagał się pieniędzy, życie się komplikowało, gmatwało...

Najgorsze były noce, dziwaczne sny, w których przeżywał makabryczne zdarzenie. Nieraz zrywał się z krzykiem.

- Obudź się, kochany, obudź! - tarosiła go wówczas Lucy - coś ci się śniło, najdroższy? Przytomniał.

- Nie, nic nie pamiętam - odpowiadał.

- Rzucałeś się na łóżku, wołałeś „ostrożnie, Hans, z moją przysadką!”

- Niemożliwe...

- A potem - chichotała żona - nie uwierzysz, ale zaczynałeś kwiczeć.

- Co takiego?!

- Kwiczałeś wspaniale, jak najlepszy parodysta. No zrób to jeszcze raz...

O'Hara wtulał się w poduszkę. Udawał, że zasypia. Koszmary nawiedzały go bardzo często.

Oczywiście nie miał pojęcia, że w trakcie zabiegu transplantacyjnego chirurgowi drgnęła ręka. Uszkodził fragment mózgu. Ponieważ był jednak wielkim artystą, a zdefektowany fragment nie należał do najważniejszych, Weissenstein postanowił go dosztukować. Miał do dyspozycji cały, zdrowy mózg świnki...

Kto by przypuszczał, że ten elemencik odezwie się kiedykolwiek w pacjencie. Najpierw w snach, a w jakiś czas później w nieprzepartej chęci wytarzania się w błocie... A jeszcze potem... Ale nie uprzedzajmy wydarzeń.

Taśma jest zautomatyzowana, świnki jadą ku swemu przeznaczeniu ruchliwym chodnikiem, są ważone, a następnie wpadają do sali uboju. Rytm jest jednostajny, nic dziwnego, że zmęczeni nadzorcy śledzą cały proces jedynie kątem oka.

Harry Ridge, starszy nadzorca, żuje gumę i myślami wędruje po galerii malarstwa nowoczesnego, w której pracował jako strażnik przez rok, dopóki się nie zwolnił nie mogąc patrzeć na wybryki conceptualistów.

- Przy nierogaciźnie człowiek czuje się człowiekiem - powiedział kiedyś w reportażu z cyklu „Nasza praca, nasza miłość”. Z nostalgicznej zadumy wyrывa go głos pomocnika:

- Łaciata ma olbrzymią niedowagę, co robimy? Może chora? Ridge niepokoi się. Jedna chora może rzutować na całą produkcję. I premię.

- Zrzućcie ją z taśmy, wezwę weterynarza - mówi, potem wypuszcza docenta Holdinga na małe podwóreczko otoczone murem i wzywa specjalistę.



- Moim zdaniem ona jest tylko głupia - mądrzy się pomocnik - parę razy wyrwała chłopakom po kawałku gazety.

- Może brakowało jej jakichś witamin - myśli Ridge. Świnka sprawia wrażenie osowiałej. Ale są to tylko pozory. W momencie kiedy Ridge zajęty jest telefonowaniem, ktoś z personelu otwiera drzwi z budynku administracyjnego. Stare zapasowe wejście. To był ten moment. Świnka daje susa w przód, obala pomocnika, ubiega reakcję Ridge'a i wpada w drzwi.

- Łapać ją, łapać, może być wściekła! - woła nadzorca.

Czworonożny docent biegnie jak strzała korytarzem. Zaskoczony personel ustępuje z drogi. Niestety wyjścia na zewnątrz są zamknięte, Ridge goni; pozostają schody na górę. Świnka wbiega na piętro i wzbudzając popłoch wśród sekretarek w przedpokojach dyrektora „Mięsostrustu”, wpada w uchylone drzwi. Dyrektor przodującego przedsiębiorstwa zajęty był właśnie konsumpcją kanapki z salcesonem, którą był mu przygotował personel z działu eksportu, obok na gazecie spoczywał korniszon i słoik dżemu...

Jak zeznał, w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na niespodziewanego przybysza, rzucił standardowe: nie ma mnie, a kiedy coś dużego wskoczyło mu na biurko, uniósł wzrok i przez moment miał wrażenie, że salceson ożył.

Tymczasem świnka skonstatowała, że w dyrektorskim oknie nie ma krat, skoczyła do przodu, trójskokiem odbiła się od blatu, piersi dyrektora i parapetu... Ryzykowała upadek na beton, za oknem jednak był kwietnik w kształcie napisu: „Młodzież rzeźna przyszłością konsumenta”. Zwierzę wpadło miękko między goździki, przeokoziółkowało parę metrów, ale pozbierało się szybko i minawszy nie domkniętą bramkę, zniknęło za rogiem ulicy.

Sekretarki histeryzowały obawiając się, że ucieczka świni jest skutkiem anarchistycznej propagandy, dyrektor zemdłał, a pan Ridge powtarzał w kółko jak zdezelowana płyta:

- Jaki jest numer policji? Zadzwońcie na policję. To bydlę jest groźne dla otoczenia!

W tym samym czasie łaciaty docent Holding utykając z lekka, biegł już brzegiem ocienionego kanału irygacyjnego, kierując się w stronę wielkich śmietnisk. Trudno mówić, czy miał jakiś sprecyzowany plan, od Holliday Spring dzieliło go przeszło czterysta kilometrów, wiedział natomiast jedno - uniknął najgorszego, i jakiś lepszy lub gorszy (a miejmy nadzieję, że tym razem korzystny) ciąg dalszy mógł i musiał wkrótce nastąpić.

Dyżurny policjant Rick Simpson kończył służbę, dlatego telefon, który w normalnej sytuacji powinien go rozbawić, teraz niesłychanie go zirytował...

- Świnia uciekła? Jaka świnia? Łaciata? Popelniła jakieś przestępstwo? Co? Uciekła z zakładu zamkniętego? Może jeszcze raz przeliteruje pan nazwisko poszukiwanej?

Głos z drugiej strony przeliterował i rozmowa trwała dalej.

- To co mamy zrobić? Zachowywała się nieobyczajnie? Nie. Nie zajmowała się narkotykami, nic nie ukradła, nikogo nie zabiła? Nie, proszę panów, to nie jest sprawa dla nas. Zgłóście do Biura Rzeczy Zagubionych!

Ze słuchawki padło parę klątw i kilka dosadnych uwag na temat inteligencji aparatu ścigania; Rick nie pozostał dłużny:

- Czy pan orientuje się, że obraża pan urzędnika na służbie? A właściwie już prawie p o służbie?

Rozmówca spuścił z tonu powtarzając jednakże, że zwierzę jest najprawdopodobniej wściekłe, a więc groźne dla otoczenia.

- A czy może przyczyniać się do zakłóceń w ruchu ulicznym? - spytał Simpson - Może? W takim razie zainteresujemy sprawą drogowką. A teraz niech się społeczeństwo wyłączy. Społeczeństwo wykonało już swój obywatelski obowiązek. - To mówiąc sporządził notatkę dla zmiennika, po czym spiesznie opuścił komisariat. Była 14.25,

Molly, która miała mu wypełnić najbliższe popołudnie, musiała być już dobrze zdenerwowana jego spóźnieniem.

Jednoszynowa kolej ekspresowa relacji Północ-Południe sunęła z prędkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. W luksusowych kabinach drzemali podróżni. Dla lepszego samopoczucia do snu kołysały ich nadawane przez głośniki efekty akustyczne starej sympaty- • cznej kolei parowej. Linia płynnymi łukami omijała większe aglomeracje; wiadukty poprowadzono śmiało ponad kanionami, bagniskami czy parkami narodowymi. Zresztą niewiele było widać. Zapadł zmierzch. Doktor Weissenstein wracał do Instytutu z trzydniowego Kongresu \ Chirurgów. Był w znakomitym humorze. Za parę godzin upływał ostateczny termin kolejnej wpłaty. Szantażysta nie tylko cieszył się / nowym przyplywem gotówki, o wiele bardziej satysfakcjonowało go obserwowanie bezradnej wściekłości Franka O'Hary.

Jeśli idzie o Kongres Chirurgów, poświęcony był on sprawom transplantacji mózgow „metodą Holdinga”, metodą, która przyjmowana była coraz powszechniej w całym kraju.

Ekspres minął tunel pod Wielobarwnymi Skałami i posuwał się teraz skrajem Parku Narodowego, do celu pozostało około stu pięćdziesięciu kilometrów... Hans odłożył dwa numery „Młodego Sadysty”, (ilustrowanego periodyku wydawanego na papierze ściernym) i wtulił się w oparcie kanapy. Miał pół godziny drzemki. A biorąc pod uwagę trzydziestodwuminutowe opóźnienie... I wtedy otworzyły się drzwi.

- Wykupiłem cały przedział - burknął nie podnosząc powiek.

- Ja tylko na chwilę - powiedział głos Williama Holdinga. Weissenstein był zaskoczony.

- Skąd się tu wzięłeś, Frank?
- Miałem trochę zajęć w terenie, poza tym to znakomite miejsce do porozmawiania.
- O czym tu mówić. Masz pieniądze? - warknął chirurg.
- O tym właśnie chciałem pogadać.

Ekspres bezszmerowo pokonał głęboki parów i skręcił na estakadę ponad parkową długości dwudziestu paru kilometrów. Była już prawie

Mżawka, która całe rano dawała się we znaki uciekającej śwince, skończyła się po południu. Wyrzało słońce, a koło godziny trzeciej zrobił się prawdziwy upał. Jak dotąd nic nie zakłócało ucieczki. Brzegiem kanału maciora opuściła miasto, potem przebyła śmietniska, a teraz wśród pól uprawnych biegła w kierunku południowym.

Źle zrobiłem, że nie poczekałem na złomowisku do zmierzchu - pomyślał Holding marszcząc ryjek. - W ciągu nocy dotarłbym do rezerwatu, a tam byłoby bezpieczniej. Chyba że drapieżniki?

Nieraz odwiedzał ten rozległy kompleks skalno-leśny razem z Lucy... Lwy górskie, wilki, niedźwiedzie czuły wprawdzie mores przed ludźmi, ba, przychodziły nawet na parking zebrać o przysmaki, ale co mogło ich powstrzymać od zaatakowania apetycznej świni?

- A ja jestem całkowicie bezbronny... W pobliżu niskich zabudowań musiał przeciąć drogę. Zrobił to szybko, ale i tak spostrzegł to jakiś chłopak wyglądający przez okno.
- Mamusiu świnia, dzika świnia! - zawołał na widok Holdinga.
- Cicho bądź, gówniarzu, bo wszystko powiem ojcu!

Szczęśliwym trafem udało mu się również ominąć grupę rolników pracujących na polu. Ciemna ściana lasu była coraz bliższa. Ostatni kilometr przebył rowem obok szosy... Wcześniej trafił się mały stawek pokryty rzęsą. Docent utyłł się ile mógł w zielonym paskudztwie i gdy tylko przejeżdżał jakiś pojazd, nieruchomiał na dnie rowu, pragnąc wtopić się w otaczającą zieloność.

Wyglądam zapewne jak świnia bojowa - zaśmiał się w duchu. - Na razie idzie nieźle. Zresztą kierowcy zajęci swoimi problemami nie obserwowali dokładnie zawartości rowów. Robiło się coraz goręcej, wejście w las sprawiło więc Williamowi podwójną przyjemność. Głodu nie odczuwał, mimo wstrętu i wewnętrznych oporów znakomicie napaśł się w śmietniku (ależ ci ludzie marnują dary Boże!), a potem dopełnił witaminami maszerując przez tereny rolnicze.

Las był wonny, napawający otuchą. A tej było mu bardzo potrzeba. Wybrał przesiekę idącą prosto na południe. W dwa dni powinien dotrzeć na drugą stronę rezerwatu. Ale potem. Co zrobi później?

Był tak zamyślony, że nieomal wdepnął na jakąś migdałącą się parkę.

- O, przepraszam - chciał powiedzieć, ale wyszedł mu tylko kwik. Zamarł ze strachu.

- Słyszałeś? - pisnęła Molly.

- A co miałem słyszeć - sapnął posterunkowy Simpson - kocham cię, moja mała świnka morska. No... nie rozprasza się. Co robisz? Molly wysunęła się spod niego i przykryła halką.

- Czy, czy są tu dziki? - zapytała. - Wydawało mi się!...

- Naturalnie że są - zaśmiał się policjant. - Tu wszystko jest dzikie: dzicy ludzie, dzikie koty... ale na pewno nie ma twojego dzikiego męża. No chodź...

- Może mi się tylko wydawało - szepnęła.

Chwilę nasłuchiwali, ale w lesie panowała niezmacona cisza. Zajęli się więc sobą. Dobry kwadrans Holding siedział przycupnięty w krzakach, nie ośmielając się odetchnąć. Gdy jednak zobaczył, że para wraca do przerwanych igraszek, zaczął się powoli wycofywać, przed tym jednak dokładnie obejrzał całą polankę. Obok koca i odzieży wiszącej na krzakach uwagę jego przykuł jeden przedmiot: pistolet w skórzanej kaburze.

- Przydałby mi się jak nic pomyślał.

Minęło pięć minut. Molly paliła papierosy, a Rick płukał się w potoku, gdy nagle zawył klakson jego wozu. Konsternacja. Policjant chwycił portki i wskakując w nie w biegu, pomknął do swego forda zaparkowanego na skraju przesieki. Molly pogoniła za nim. Chwila przedzierania się przez krzaki i byli na miejscu. Drzwi od samochodu były otwarte, ale poza tym wszystko znalazł w porządku. Nikogo nie zainteresował kasetowy magnetofon ani radio...

- Jakiś cholerny żartownisi Kurza twarz! - zaklął Simpson. Wrócili do gniazdka miłości. Jednakże poprzedni nastrój prysnął. Tym bardziej że miało się ku wieczorowi. Rick począł zwijać koc, nakładać koszulę i wówczas zauważył brak służbowej spluwy.

Lucy Holding wróciła do domu w podłym humorze. Nie zastała męża (dziwne, powinien dawno być) i to jeszcze bardziej spotęgowało jej chandrę. Piosenkareczka miała bowiem jedną prawdziwą przyjaciółkę, Dolores Mendoza. Przeważnie piękna dziewczyna ma powiernicę od serca brzydką jak noc. Tym razem zdarzył się wyjątek nie potwierdzający reguły - Dolores, córka ognistego Meksykanina i energicznej Irlandki, była bodajże najpiękniejszą przedstawicielką płci pięknej na środkowym Południu.

Debiutowały obie jako pin-up girls, z tym że o ile Lucy posiadała dość inteligencji, by popracować nad sobą i nauczyć się przynajmniej śpiewu, Dolores wybrała karierę bluszczu. Doskonale świadoma swoich walorów, po krótkim stażu cali girl sprzedawała się rzadko i drogo, a półtora roku temu została na stałe dziewczyną Richarda Karsky'ego, najbogatszego z magnatów rejonu Holliday Spring.

O majątku przemysłowca krążyły przedziwne opowieści; mówiono, że ten syn ubogiego emigranta ze środkowej Europy sam nie wiedział już, ile posiada. Mówiono też, że dla zdobycia kolejnego zera na końcu sumy będącej saldem jego konta nie zawahałby się przed niczym. Tu cytowano zazwyczaj zagadkową śmierć wiceprezydenta Santosa czy zamach stanu w Montenegrii. Zostawiając jednak politykę trzeba stwierdzić, że Karsky, dotąd przejawiający zimną krew i żyjący nadzwyczaj oszczędnie, po poznaniu Dolores zmienił się jak rak po gorącej kąpieli. Zakupił wytwórnię filmową, która do dziś dnia wypuściła zaledwie jeden film „Zmysły, zmysły, zmysły”, z panną Mendoza w roli głównej. Film prawdopodobnie pobiłby wszystkie rekordy kasowe (i to raczej nie ze względu na wartości artystyczne), gdyby nie szął, w jaki wpadł Karsky podczas prapremiery.

Najpierw kazał wyciąć wszystkie sceny, w których jego narzeczona występowała w niekompletnym stroju. Po tym zabiegu pozostało ledwie dziesięć minut filmu, wobec tego przemysłowiec polecił zniszczyć wszystkie kopie, a partnerów Dolores zesłać karnie do teatrzyków kukielkowych. Dziewczynę uznał za swoją własność i był o nią niesłychanie zazdrosny, podobnie jak o wszystko, za co zapłacił.

Do czasu poznania miliardera panienki wynajmowały wspólnie mieszkanie, w którym - zgodnie z umową - do południa Lucy brała lekcje i odbywała próby, zaś po południu Dolores „pozowała” klientom (jak eufemistycznie nazywają ten rodzaj usług). Wieczorem obie bawiły się wesoło za pracowicie zarobione pieniądze.

Poznanie Karsky'ego zbiegło się w czasie z początkiem romansu Lucy z docentem transplantologii. Różnice majątkowe i socjalne „narzeczonych” wpłynęły na rozluźnienie kontaktów między dziewczętami. Zmieniły mieszkanie. Dzwoniły do siebie coraz rzadziej...

Dopiero teraz, w połowie lipca, rozpaczliwy list ze szpitala im. Flemminga (tego od penicyliny, nie od Bonda) przypomniał pani Holding o dawnej przyjaciółce. Kiedy w dwa dni później odwiedziła „lux-izolatkę” lecznicy w Wildstone, „najseksowniejsza dziewczyna kontynentu”, jak nazwały ją niedawno tygodniki, znajdowała się w agonii.

Nie dawano jej żadnych szans, zaawansowany rak mózgu wkroczył już w tę fazę, w której nawet wspaniały docent Holding rozłożyłby ręce i począł przygotowywać formularze

do wypisania aktu zgonu. W momencie wizyty pani Holding chora była już kompletnie nieprzytomna.

- Utrzymujemy ją sztucznie przy życiu - powiedział młody lekarz Alain Lecoq. - Gdyby nie veto Karsky'ego, zdecydowalibyśmy się na odłączenie aparatury reanimacyjnej. W mózgu Dolores zaszły już nieodwracalne zmiany... - tu westchnął - pani, jako żona docenta Holdinga, u którego miałem przyjemność praktykować w zeszłym roku, najlepiej zdaje sobie sprawę, że istnieją jeszcze wypadki, w których medycyna pozostaje bezradna.

Lucy skinęła głową.

- Moim zdaniem - kontynuował Alain - mimo wszystkich rewelacyjnych postępów w wielu gałęziach medycyny, osiągamy jedynie to, że ludzie umierają na coraz inne choroby. Uporaliśmy się z infekcjami, z epidemiami, na pierwsze miejsce wysunęły się schorzenia układu krążenia; kiedy opanowaliśmy zawały, zatriumfowała miażdżyca... teraz na czele naszej statystyki jest rak...

- A jeśli i jego zwalczyć?

- Będą nas niszczyć choroby cywilizacyjne: psychostresy, manie samobójcze, nerwice... Człowiek nigdy nie osiągnie nieśmiertelności. Ale - dodał jak na pocieszenie - to jest tylko moje prywatne zdanie.

Wszedł Karsky i Lucy cofnęła się o parę kroków. Stary rekin miał łzy w oczach.

- Musicie ją ratować... jeśli umrze... Nie wiem, co ja zrobię. Panie doktorze, musicie! W końcu utrzymuję tę całą waszą nieudaczną klinikę!

Pani Holding wycofała się dyskretnie. Trzy godziny później, kiedy leżała sama na olbrzymim małżeńskim łóżu, po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że pełnego szczęścia nigdy nie można osiągnąć, a im więcej się złapie z jednej strony, tym mocniej można oberwać z drugiej. I z niepokojem pomyślała: Oboje z Williamem jesteśmy tak bezgranicznie szczęśliwi. Czy nie należy zacząć się czegoś bać?

- Słuchaj, Hans - O'Hara-Holding siedzący vis-a-vis w fotelu pociągu ekspresowego mówił tonem twardym i zdecydowanym. - Koniec z forszą! Nie dostaniesz ode mnie już ani centa.

- Czyżby? - brodaty olbrzym zarechotał.

- Na pewno!

- Publikatory będą miały ogromną uciechę, gdy dowiedzą się, że znakomity docent, to tylko zewnętrzne okrycie skrywające szarlatana, gdy tymczasem prawdziwy mózg Holdinga znajduje się już zapewne na talerzu jakiegoś smakosza.

- Zapomniałeś, Hans, że jesteś współwinnym - powiedział Frank - to ty dokonałeś operacji...

- Rozmawialiśmy już o tej sprawie. Poza tym doszedł pewien istotny szczegół. Byłem z wizytą u zaprzyjaźnionego psychiatry...

- I co?

- Oceniał, że jestem nienormalny, nieodpowiedzialny za swoje czyny, najwyżej wsadzą mnie do zakładu zamkniętego... Byłem tam już kiedyś w młodości. Ale z zakładu można uciec... Ciebie zaś czeka... -wymowny gest zastąpił słowa. Weissenstein poprawił się w fotelu i zadowolony z siebie spoglądał na szantażowanego.

Ciekawa sprawa, elegancki „skafander Holdinga” - jak określiliby powłokę cielesną O'Hary znawca parapsychologii - nie wyglądał na zastraszonego. Przeciwnie, wyznanie chirurga przyjął z ulgą, tak jakby go oczekiwał, a zarazem pozbywał się ostatnich wątpliwości. W jego rękę pojawiła się mikrostrzykawka w kształcie szpilki do krawata i nim Weissenstein zdołał cokolwiek powiedzieć, igła wbiła się w pierś chirurga.

- Dlaczego mnie ukłułeś! - wrzasnął Hans, ale już po chwili wiedział. Jakby niesiony szybkobieżną windą zapadał się w dół, w dół.

O'Hara uśmiechnął się. Znów poszło nadspodziewanie łatwo. Z wysiłkiem ustawił dwumetrowego draba przy wyjściu rezerwowym, następnie przypiął się do fotela, zerwał plomby i uruchomił dźwignię awaryjną. W sekundę potem ciało doktora Weissensteina porwane przez pęd powietrza poszybowało w mrok. Za nim poleciała jego walizka (dokumenty już wcześniej morderca schował do kieszeni). Teraz pozostało tylko zamknąć drzwi i szybko oddalić się z przedziału. Konduktor zaalarmowany dźwiękiem sygnalizującym otwarcie drzwi zewnętrznych nadbiegł z przeciwnej strony. Kabinę zastał pustą, tak jakby nigdy nikt w niej nie siedział. Ekspres mknął dalej estakadą ponad Parkiem Narodowym.

Łaciaty docent uszykował sobie nocleg w kupie liści, pod wklęsłą skałą. Był w sercu rezerwatu. Dwukrotnie sprawdzał funkcjonowanie pistoletu, który z niemałym trudem uwiązał sobie na szyi.

Jeśli będę go trzymać ryjem, to raciezkami uda mi się uruchomić spust. Oj, nie chciałbym być w skórze bestii, która miałaby ochotę mnie tknąć.

Z dala narastał jakiś dziwny łoskot... zerwał się na równe kończyny. Trzęsienie ziemi? Nie... zorientował się, że o kilkadziesiąt metrów dalej przebiegała estakada kolei jednoszynowej. Łoskot przybliżał się. Jak łańcuszek bursztynów przeleciała nad nim smuga rozświetlonych okienek i coś podobnego do ogromnego tłumoka padło ciężko w zarośla, o sto metrów od niego. Zainteresowany pobiegł tam spieszenie. O Boże!

W słabym świetle księżycy widział przerażający strzęp ludzkiego ciała... właściwie nieidentyfikowalny kadłub... W tym momencie w świnie obudził się lekarz. Pochyliła się nad nieszczęśnikiem.

Jeszcze żyje... co robić, co robić...? Bez pomocy umrze w pół godziny.

Wzdłuż toru co parę kilometrów znajdowały się syreny alarmowe i budki telefoniczne przydatne tak dla kolejarzy, jak służby leśnej. Z uwagi na trudności nakręcania numeru i brak bilonu docent zdecydował się na syrenę. Pistoletem stłukł szybkę i zębami pochwycił wajchę...

W szpitalu im. Flemminga trwał ostry dyżur. Doktor Alain Lecoq pił akurat herbatę, którą zaparzyła dla niego siostra Jane, kiedy wezwano go na salę operacyjną. Pośpieszył co sił w nogach. Myjąc ręce w łazience spotkał się z profesorem Merlinim, szefem oddziału. Profesor uchodził za przeciwnika przeszczepów, ale tym razem patrzył na Lecoqa inaczej niż zwykle.

- Mamy przypadek, wobec którego jestem zupełnie bezsilny. Przed chwilą helikopterem dostarczono do szpitala żyjący strzęp ludzki. Właściwie tylko mózg jest nienaruszony, reszta... lepiej nie mówić. Dużo rzeczy w życiu widziałem, ale ten widok mną wstrząsnął.

- Pewnie ofiara jakiegoś wybuchu? - domyślił się Alain...

- Nie, nie... tego nieszczęśnika znaleziono w Parku Narodowym, opodal torów kolei ekspresowej. Nie miał dokumentów. Najprawdopodobniej samobójca... Ech, wyskoczyć w biegu z pociągu pędzącego przeszło dwieście kilometrów na godzinę... I wie pan, drogi kolego, nie znaleziono tego, kto wezwał pomoc.

- To się zdarza...

- Najdziwniejsze, że wokół toru i budki z syreną ziemia jest gliniasta a przed południem padało...

- No i...?

- Jedyne ślady, na jakie natrafiono przy uruchomionej syrenie, są to racice świni... Ale wróćmy do sprawy. Zupełnie nie wiem co robić...? Na razie utrzymujemy ten mózg sztucznie przy życiu, ale jak długo to może potrwać. Pan jest zwolennikiem „metody Holdinga”, ma pan okazję... Gdyby znalazło się jakieś młode ciało, wyjątkowo zezwoliłbym na eksperyment. Nie jesteśmy w Holliday Spring, ale raz... W tym momencie mimo protestów pielęgniarek do łazienki wdarł się

Karsky. Był nieomal siny ze zdenerwowania.

- Profesorowie spokojnie myją ręce, a pielęgniarka powiedziała mi, że ona umiera! Umiera - wrzasnął... Coś zaświtało Alainowi.



- Panie Karsky - rzekł - nie mogę uratować panny Mendoza... jej umysł jest już...

- Co mi po jej umyśle! - prychnął finansista - nigdy nie miała za dużo rozsądku. Ale jej ciało, jej cudowne, dziewczęce ciało...

- Czy w takim razie pójdzie pan na ryzyko? - Lecoq ciągnął dalej przerażony własną śmiałością - czy zgodzi się pan na dokonanie przeszczepu mózgu i że panna Dolores otrzyma świadomość...

- Tak, tak!

- Ale nie wiemy nawet czyją... Przed chwilą dostarczono nam ciało nie zidentyfikowanego mężczyzny!

- Róbcie swoje szybko!

Lecoq spojrział na profesora, ten zakładał rękawiczki.

- Nie mówię nie - mruknął stary chirurg.

Karsky postawił jeden warunek - nikt nie dowie się o zabiegu. Nie zidentyfikowany oficjalnie umrze, a Dolores pozostanie sobą. Dla lekarzy było to nawet na rękę. W chwilę potem na salę operacyjną wjechały dwa wózki, na jednym znajdowało się blade, ale bardzo piękne ciało seksbomby, na drugim wszystko to, co zostało z doktora Hansa Weissensteina. W godzinę potem salę operacyjną opuścił tylko jeden wózek. Wieloznaczna zapowiedź Dalszego Ciągu.

Poniedziałek zaczął się dla komisarza Burtona jak zwykle dość nerwowo, aczkolwiek tym razem głównym winowajcą nie był weekend, który przyniósł zaledwie sto dwadzieścia trzy poważniejsze kraksy, pięć morderstw i kilkanaście samobójstw, w tym jedno oryginalne - skok z pędzącej kolei ekspresowej.

Przed siwawym szefem policji okręgowej w Wildstone leżała teczka, na której ręką sekretarki wypisane było - „Kryptonim Świnia"! Burton poślinił długopis (nawyk z czasów, kiedy używał kopiowego ołówka) i delektując się smakiem tuszu począł przeglądać kolejne załączniki:

1) Meldunek o ucieczce jednego egzemplarza nierogacizny z zakładu skarmiania zbiorowego.

2) Raport sierżanta Simpsona o kradzieży służbowego pistoletu, numer seryjny, etę...

3) Protokół o śladach racic w rejonie syreny kolejowej...

(Ten dokument komisarz zmiął energicznie i wrzucił do kosza, albowiem mógł on świadczyć korzystnie o poszukiwanej.) Dookoła na biurku piętrzyła się literatura fachowa: „Chów trzody", „Konstytucja", „Prawa i obowiązki zwierzyny domowej", „Vademecum myśliwego",

„ABC ścigania...” Nim jednak zdążył się zagłębić w tę tonię makulatury, sekretarka doniosła kupkę kolejnych informacji:

„Na przedmieściu Wildstone maciora dokonała zuchwałej kradzieży, wypijając mleko spod drzwi niejakiej panny O'Connor.

W piętnaście minut potem zabrała poranny dziennik z ulicznego kiosku nie uiszczając należnej opłaty... Jest podejrzenie, że dokonała również kradzieży mapy.

Na skrzyżowaniu dwóch dróg lokalnych obaliła obywatela pragnącego ją zatrzymać...”  
- Nie umknie nam - pomyślał Burton - dopóki przebywała w rezerwacie, nasza praca przypominała szukanie igły w stogu siana. Teraz świnia znajduje się na terenach gęsto zamieszkałych i - z niewiadomych przyczyn - uparcie dąży w kierunku południowym... Wściekła, nie wściekła, złapiemy ją!

W pokoju obok oczekiwał go tłum współpracowników, a przez uchylone drzwi usiłowała się wcisnąć czereda dziennikarzy.

- Co jest z tą wścieklizną? - wołał brodac z „Gońca Południowego” - niektóre szkoły odwołują zajęcia. W restauracjach zauważono daleko posuniętą rezerwę konsumentów w stosunku do wieprzowiny...

Burton uciszył wszystkich wystudiowanym ruchem rąk.

- Sprawa jest naprawdę błaha, a przypadek zwierzęcej paranoi zjawiskiem odosobnionym - powiedział. - Tak czy siak do wieczora będziemy ją mieli.

Tu dał znak współpracownikom, aby weszli do jego gabinetu.

Tego dnia fałszywy Holding był w pracy przed wszystkimi. Po raz pierwszy od długiego czasu czuł przyływ energii. Rozprawa z Hansem przyniosła mu ulgę. niedzielne dzienniki, które podały wiadomość o samobójstwie nie zidentyfikowanego pasażera, upewniły go, że wszystko jest w porządku. W Instytucie nikt nie zwrócił uwagi, że Weissenstein nie wrócił jeszcze z Kongresu.

- Znów się udało! - rzekł do siebie, wchodząc do dawnego gabinetu Holdinga. Nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia. Był głęboko przekonany, że zabójstwo chirurga było koniecznością, a nawet czynem godnym pochwały. W końcu to był wyjątkowy szubrawiec. Poza tym wszystko szło ku lepszemu. Udało mu się nareszcie wystudiować podpis docenta. W niedzielę Lucy oznajmiła mu, że spodziewa się dziecka... (Miał nadzieję, że nie będzie podobne do Franka O'Hary). Wspólnie ustalili, że pani Holding definitywnie porzuci estradę.

Perspektywy przedstawiały się zatem jak najlepiej. Awans na profesora był kwestią dni, a potem, potem... spokojne, dostatnie życie z Luey... co pewien czas skok w bok. I w porządku.

Panna Salieri przyniosła mu dokumentację z ostatnich doświadczeń. Przejrzał je, potem miał krótki wykład dla studentów. Następnie w asyście tłumacza spotkał się z paryskim wydawcą. Chodziło o przedruki prac Holdinga w języku francuskim. Koło pierwszej wyskoczył na lunch z Arnoldsonem do snack baru naprzeciwko Instytutu.

Rozmawiali o nieważnych sprawach z pogranicza polityki i zagadnień podatkowych. Z głośnika w kącie lokalu sączyła się muzyka emitowana w V programie radia... I nagle...

„Uwaga! Nadajemy komunikat specjalny...”

Nie wiadomo dlaczego, O'Hara przerwał konwersację i zamienił się w słuch.

- Pewno znów powtarzają ten komunikat o świni... – mruknął Arnoldson.

- O jakiej świni? - zapytał udając obojętność Frank i jednocześnie marząc, żeby ktoś wzmacnił fonię.

Jego telepatyczne wysiłki miały odwrotny skutek, opasły barman przerzucił zakres. Popłynęły dziarskie tony muzyczki dla rolników. Przez chwilę jedli w milczeniu... A krewetki wręcz mnożyły się w ustach O'Hary... Dopiero po dwóch minutach ośmielił się zapytać...

- Co to za afera z tą świnią?

- Nie słyszałeś? - zdziwił się Arnoldson. - Od rana nadają komunikat. Podobno w rejonie Parku Narodowego pojawiła się maciora zarażona wścieklizną. Zwierzę jest arcsyprytne i mimo trwającego pościgu dąży uparcie w kierunku południowym, w naszym kierunku. Co ci się stało. Will?

Docent mienił się na twarzy.

- Nie, nic... To tylko... fascynujące! Wiesz, jak interesują mnie wszystkie sprawy parzystokopytnych

- Moim zdaniem to może być jakaś ciekawa mutantka... Wypadek jeden na miliard. Co, idziesz? Nie dopijesz piwa?

- Przypomniałeś mi o jednym doświadczeniu, które muszę natychmiast skontrolować... - zawołał Frank wybiegając ze snack baru...

Był rozdygotany, nogi miał miękkie. Pośpiesznie przeczytał popołudniowego brukowca, kupił tranzystor i wysłuchał komunikatu o czternastej, a potem zadzwonił do Lucy...

- Wrócę późno - mam konferencję...

W minutę potem połączył się z Dyrektorem Generalnym.

- Szeffie... nie dam rady być na dzisiejszym zebraniu, Lucy źle się czuje... wiesz, pierwsze miesiące... Chciałbym być razem z nią. Trzeci telefon wykonał do sekretarki:

- Niech nikt w żadnej sprawie nie dzwoni do mnie do domu, będę bardzo zajęty.

Telefonowanie zabrało mu trochę czasu. Zdążył jednak ochłonać. W kwadrans po czternastej zupełnie spokojny wszedł do ekskluzywnego sklepu łowieckiego.

Sprzedawca o wyglądzie nosorożca uśmiechnął się uprzejmie.

- Służę panu.

- Chciałbym nabyć sztucer z celownikiem optycznym. Na grubego zwierza...

Marzenia o zemście zajmowały sporo miejsca w myślach docenta Holdinga. Im dalej od rzeźni, tym częściej wyobrażał sobie moment, w którym skoczy do gardła O'Harze i przedstawi się Lucy. O szczegółach realizacji tego przedsięwzięcia na razie nie myślał.

Wydawało mu się, że zgubił wszelkie pogonie. W rezerwacie parę razy przebrodził potok, tak że nawet psy policyjne byłyby bezradne.

Kłopoty zaczęły się w rejonie Wildstone, wprawdzie wybierał drogę okrężną przez peryferie, ale nie obyło się bez świadków. Parokrotnie musiał dobrze wyciągać nogi. Za każdym razem ratował go refleks i fakt, że nikt nie podejrzewał go o inteligencję.

Koło południa był już po drugiej stronie miasta, w rejonie rozwidlających się autostrad. Wspiął się na niewielkie wzniesienie i zadrzał. Drogę patrolowały wozy policyjne. Obejrzał się. Jacyś osobnicy z psami i fuzjami znajdowali się paręset metrów za nim.

- Ochotnicy Obywatelscy, psia krew!

Pięćdziesiąt metrów w dole przy drodze była mała stacja benzynowa, właściwie jeden dystrybutor. Stała przy nim niewielka furgonetka pokryta plandeką...

Truchcikiem zbiegi ze wzgórza... Kierowca narzekał na ceny etyliny, a benzyniarz tłumaczył mu to geopolityką.

Holding wśliznął się do wnętrza pełnego skrzynek z napojami chłodzącymi. Na plandece widział napis „Dostawca napitków Abel Hoodson. Holliday Spring!” Świńskie serce zabiło żywiej.

A więc jak dobrze pójdzie, jeszcze dziś znajdzie się w rodzinnym mieście. Ruszyli, blokadę minęli łatwo, policjant zapytał kierowcę, czy nie widział przypadkiem łaciatej świni, a gdy ten zaprzeczył, przepuścił go bez słowa. Świnka spocila się przy tym jak ruda mysz. Pędzili z szybkością przeszło 100 km/godz. i Holding zaczął się już zastanawiać nad konkretną realizacją zemsty, gdy zapisały hamulce.

- Gorąco, cholera, język zasycha - gderał do siebie Hoodson idąc do tyłu po coś orzeźwiającego. - A to co... Cholera!

Uderzony ryjem runął na asfalt. Świnka wyskoczyła z samochodu. Jej wzrok padł na pobliski drogowy znak: „Holliday Spring 103 km”.

- Tak blisko, tak blisko...

Niezdarnie wgramoliła się do szoferki... Motor wciąż pracował... Gdyby rączką nacisnąć gaz... a ryjem wziąć kierownicę. Niestety. Fotel kierowcy nie był przystosowany do wieprzowego cielska. Kopytka ślizgały się na pedałach, wrzucenie jedynki było niepodobieństwem.

Trzeba iść dalej pieszo - pomyślał William.

I w tym momencie przy furgonetce zatrzymał się policjant na motocyklu.

- Czy coś pomóc? - zapytał uprzejmie.

O'Hara wynajął helikopter. Nie targował się o cenę, a gdy właściciel spytał, w jakim celu wynajmuje, rzucił krótko:

- Turystyczno-krajoznawczym!

Pilot był młodym sympatycznym człowiekiem. Rychło zorientował się, jak ma wyglądać ta wycieczka krajoznawcza.

- Pan też szuka świni? Dziennikarz? - spytał.

- Jestem z Towarzystwa Miłośników Zwierzyny - odpowiedział naukowiec - z ramienia mojej organizacji muszę nadzorować, czy pościg będzie prowadzony metodami humanitarnymi...

- Zupełnie słusznie - zgodził się pilot - też lubię zwierzęta, mamy z żoną sześć kotów... pierwszy angora: głupi, a żeby pan wiedział, jak linieje...

- Możemy zejść trochę niżej - zadysponował Frank. Porównał krajobraz z mapą... Tak, tu były tory kolejowe... tu dzielnice przemysłowe, a tu droga łącząca nakrótszą linią Wildstone z Holliday Spring. Świnia musi wędrować gdzieś tędy. Oczywiście nie szosą... może miedzami, zaroślami, rowami.

- Jeszcze niżej i wolniej! - rzekł do pilota.

O jednym był absolutnie przekonany: musi uprzedzić policję. W końcu nie wszyscy mundurowi są idiotami, a Holding jest sprytny, może mu się uda z nimi dogadać...

Na samą myśl dreszcz przeleciał po ciele, w którym tak dobrze się zadomowił. - Swoją drogą William powinien być mi wdzięczny, dbam o tę jego powłokę pięć razy lepiej niż on, sam wyprzystojniałem za niego, wywiązuję się też wobec Lucy... - Tu zachichotał...

- Pan coś mówił? - zapytał pilot.

- Nie, nie... skręcamy razem z drogą. Co tam się dzieje?

- Patrol policji zatrzymał jakąś furgonetkę.

Inteligencja nie była najsilniejszą stroną naszego dobrego znajomego Ricka Simpsona, otrzymał rozkaz szukania uciekającej świni, natomiast polecenie nie zawierało instrukcji, aby zatrzymywać nierogaciznę kierującą pojazdami mechanicznymi. Ponieważ jednak, mimo

wszystko, nieruchomy mężczyzna na jezdni i maciora za kierownicą nie wzbudziły jego zaufania, zasalutował i rzekł:

- Poproszę o prawo jazdy... - urwał, a jego twarz zastygła w bezgranicznym zdumieniu. Na wysokości swej głowy dostrzegł dziwnie znajomy rewolwer, lufa była wycelowana w jego stronę, a rewolwerowcem był nie kto inny, tylko łaciata świnia. Usiłował coś powiedzieć, ale w tym momencie huknął ostrzegawczy strzał, kula gwizdnęła obok niego, po czym lufa wycelowała dokładniej.

Simpson znał dokładnie metodę odwracania uwagi, odrzucił szerokim gestem swego colta .i jednocześnie skoczył do przodu wytrącając rewolwer z ryja...

Rick znał rzecz jasna boks, dżudo, karate... Nikt nie uczył go jednak, jak walczyć z ćwiartką tony żywej wagi, z cielskiem, którego nie ma za co złapać... Świnia po prostu go przygniotła, wypadli na jezdnię. Trzasnęły żebra. Simpson miał dosyć...

- Za... zaszła pomyłka! - wybąkał - mogę cię zapewnić, obywatelko, że nigdy nie lubiłem wieprzowiny... A na golonkę nawet patrzeć nie mogłem. Mogę odejść? Rozumiem, dziękuję... już idę...

I potykając się rzucił się do ucieczki. Świnia zaśmiała się po swojemu..

Niespodziewanie blisko ozwał się warkot helikoptera. Lada moment mogło się zjawić więcej policji. Hoodson też wracał do przytomności.

Muszę zmykać - pomyślał William i truchtem skręcił w pole między łany kukurydzy, w stronę zabudowań okazałej farmy. Helikopter musiał go przegapić, bo zaczął się oddalać. Na miejscu zajścia zjawił się sam komisarz Burton. Był wściekły.

- Bez przerwy są przez was kłopoty, Simpson - na dodatek okazaliście się oferumą i zamiast się do tego po prostu przyznać, opowiadacie mi bajki z tysiąca i jednej nocy.

- A... zeznania kierowcy to mało? - bronił się policjant.

- Mam uwierzyć, że świnia strzelała do was z pistoletu? A może wyzwalała was na pojedynek? A kierowca jest ciągle w stanie szoku. Nie wie, co mówi.

Rick zamachał rękami, ale w tym momencie towarzyszący im sierżant podniósł z asfaltu jakiś błyszczący przedmiot.

- Znalazłem łuskę!

Burton prychnął jak przedziurawiona opona.

- Co proponujecie?

- Przeszukać tę najbliższą farmę.

- Rozmawialiśmy już telefonicznie z gospodarze, w obejściu pokój...







przy akompaniamencie serdecznego śmiechu. Towarzyszem wędrówki ex-hippisa była bowiem łaciata świnia.

Miesiąc minął od wydarzeń na farmie, a łaciaty Holding znajdował się dalej od celu podróży niż w momencie wyruszenia. Upłynęło trochę czasu, parę ładnych godzin, zanim zdążył wysiąść z pociągu jadącego w przeciwnym kierunku. Potem blisko dwa tygodnie ukrywał się na mokradłach, nękany przez moskity, musiał jednak odczekać, aż sprawa „wścieklej maciory” trochę przyschnie. Jak się jednak okazało, w okręgu, w którym się znalazł, lokalna sensacja z rejonu Wildstone-Holliday Spring w ogóle nie była znana. Nie zmieniało to faktu, że rodzinne miasto znajdowało się o około sześćset kilometrów. W momencie przygnębienia, nocując pod murem starego cmentarza napotkał Bezo-kiego Sama. Żebrak śpiewał.

„Wieczna noc jest formą zamkniętą, a w tym jajku ja, Boży wyrzutek, nie wykluję się za jasną cholere, gdy składnikieDf:'Wj!FSH:Roa, nocujeza

o'Dago FSHSJRO'W !DH











































Portier trzy razy sprawdził kartę wstępu, zanim wpuścił O'Hare do hallu. Potem musnęli go wzrokiem i dłońmi tajni agenci. Dopiero po tej czynności lokaje wypakowali go z płaszcza i kapelusza. Franklin roześmiał się w duchu:

- Durnie, czego oni szukają, karabinu maszynowego? Wszystko, czego mi potrzeba, mam w szpilce od krawata.

Tymczasem wyrósł obok niego majordomus i spytawszy o personalia ogłosił donośnie:

- Pan William Holding! Profesor...

W krzyżowym ogniu spojrzeń gość poczuł się nieswojo. Najgorsze, że nazwisko i tytuł nie wywarły większego wrażenia na zgromadzonej elicie. Majordomus oddalił się, a O'Hara pozostał sam pośrodku parkietu, niczym skała wyłaniająca się z odpływu. Nikt do niego nie podszedł, nikt nie wymienił choćby zdawkowego uśmiechu. On był tu po prostu - nowy!

Doroczny Bal Potentatów wydawany był jak zwykle w Pałacu imienia Ostatnich Mohikanów Kapitału na Wzgórzu Szczytowego Stadium. Było tu wytwornie, drogo i sztywnie. Dopiero opuściwszy Główną Salę, w cienistych galeriach natrafić można było na przyjemniejsze zakątki. Oto żywy fotoplastikon, wokół którego setka panów tkwiła przy okularach. O'Hara zbliżył się do bębna zwabiony kolorowym napisem „Obrazki z życia Syberii”. Rozczarował się jednak, wewnątrz pudła szedł numer „Babuszka z niedźwiedziem”. Rozkoszne topleski roznosiły trunki i klucze od ustronnych gabinetów. Były też sale z ruletką i miniaturowa giełda, gdyby ktoś zapragnął pograć. Franklin spiesznie przemierzył cały ten labirynt ogrodu uciech i wrócił do sali balowej.

Kiedy wreszcie pojawi się ta szantażystka? Nagle drgnął. Przy bufecie dostrzegł znajomą sylwetkę Arnoisona i Dyrektora Generalnego.

- A ci skąd tu się wzięli? Czyżby moje obawy były słuszne?

- Nerwowo poprawił krawat. - Tylko nie wpadajmy w panikę! - Panna Dolores Mendoza i pan Richard Karsky - zadźwięczał metaliczny głos majordomusa.

Odpowiedzią było głośnie „Aaa...” O'Hara spojrział w kierunku schodów. Karsky jak zwykle występował w arcydrogim, acz niegustownym garniturku, natomiast jego flama... Bajeczną figurę opinał szczupły kostium ze skórek lamparcich, a we włosach tkwił diadem, jakiego mogłaby pozazdrościć królowa brytyjska.

- Ma na sobie równowartość zasobów Fort Knox - mruknął fachowo jeden z biznesmenów stojących obok O'Hary.

Dziewczyna z wdziękiem spłynęła na parkiet, rozsypując uśmiechy olśniewająco białych zębów i promienne błyski równie wspaniałych oczu. Jeden z nich przypiekl i Franka.

- Moja Lucy mogłaby jej sznurować obuwie - pomyślał z żalem.

- Przepraszam pana bardzo -jakiś facet z talerzykiem pełnym wędliny przeciskał się w stronę ogrodu. Falszywy Holding cofnął się krok.

- Pan profesor Holding, jeśli się nie mylę - powiedział żarłok - moje nazwisko Butler, Thomas George Butler... Pozwoliłem sobie wczoraj niepokoić pana.

- Tylko jego tu brakowało - jęknęła dusza O'Hary. - Mało że zawitała tu połowa Instytutu, gdzieś w tłumie kryje się nieznana szantażystka... to jeszcze ten typ.

- Czym mogę służyć, panie mecenasie? - zapytał ze sztucznym spokojem. - O ile wiem, spotykamy się jutro w sądzie.

- Właśnie, to duża niedogodność - rzekł miękko Butler - kiedy pomyślę, co zrobi z tej sprawy nasza rozplotkowana prasa.

- Nie ja wnosilem pozew! - stwierdził zimno Franklin.

- Porozmawiajmy zatem jak dwaj dżentelmeni... Chwileczkę, panienko - mecenas nagłym gestem zatrzymał przechodzącą topleskę i z niesionej przez nią czarki nałożył sobie kopiastą łyżkę kawioru.

- Zagrajmy w otwarte karty, profesorze. Ja też jestem wrogiem skandali, zbytecznego rozgłosu i wsadzania ludzi do więzienia. Jestem pewien, że mój klient zadowoliliby się zwrotem własnego ciała.

- Jaki klient, nie rozumiem, o czym pan mówi? - ton uzurpatora brzmiał spokojnie i bagatelizujące.

- Myślę o prawdziwym docencie Holdingu. O'Hara roześmiał się.

- Ja jestem jedynym prawdziwym Holdingiem. Wszelkie imputowanie mi innych prawd może spowodować jedynie wytoczenie sprawy o zniesławienie. Czy ma pan, mecenasie, chociaż jednego świadka na poparcie urojeń pańskiego klienta?

Thomas Butler uśmiechnął się tajemniczo. Przeciwnik nie należał do tych, których można lekceważyć...

- Proponowałem rozwiązanie polubowne - rzekł - a tak spotkamy się jutro.

Bystry strumień ludzki ożywiony wieścią o gorących przekąskach na pierwszym piętrze rozdzielił obu rozmówców. Frank zerknął w stronę panny Mendoza, tańczyła z Dyrektorem Generalnym.

- Tak elita władzy spleta się z dorobkiewiczowskim kapitałem, psiakrew - pomyślał cierpko.

- Ale fajna babka, profesorze! Kiedy nasza genetyka dojdzie do takiego poziomu, że wszystkie będą takie? - usłyszał obok siebie głos Arnoidsona.

- No cóż, panie doktorze, parę brzydul musielibyśmy zostawić, aby istniała jakaś skala porównawcza - odrzekł w równie żartobliwym tonie. Orkiestra skończyła utwór dynamicznym: pam pa ra ra ra, pam, pam! Dyrektor dumny jak paw podszedł do nich razem ze swą partnerką.

- Koledzy pozwolą - powiedział z nienaganną swobodą. - Panna Dolores Mendoza, gwiazda na naszym pięknym niebie. A to moi najlepsi współpracownicy.

Frank był niemal chory z zachwytu. Arnoidson nawijał jak katarynka o eksperymentach i transplantacjach, a Dolores słuchała tego z nie udawaną cierpliwością. O'Hara milczał ogarnięty nagłą nieśmiałością.

- Strasznie tu gorąco - rzekła nagle przyjaciółka Karsky'ego - może mi pan podać ramię, panie profesorze, chciałabym wyjść do ogrodu, zaczerpnąć powietrza.

Przeprosili resztę zdumionego towarzystwa i wyszli. A zresztą trudno to tak nazwać. O'Hara nie szedł, płynął. Spacerowali wśród różanych pergoli, wśród storczyków wielkich jak dynie i mięsożernych roślin, gotowych zawsze odgryźć dłoń kłapnięciem kielicha.

- Cóż za piękna noc, panno Dolores - wykrztusił wreszcie Frank, wściekły, że nie potrafi zdobyć się na nic ponad normalny banał.

- Tak, to świetna noc do miłości i interesów. Byli w jaśminowej altanie. Panna Mendoza przysiadła na wiklinowej kanapie, a jej pantofelki jak złote jaszczurki zsunęły się z bosych stóp.

- Do interesów? - fałszywy Holding nie pojął dogłębnie sensu słowa.

- Oczywiście, Frank, przecież przyszliśmy do tego gniazdka miłości właśnie załatwić interesy.

Wybałuszone baranie oczy, opadnięta szczęka i pełna dekoncentracja ruchowa. Tak najprościej opisać można reakcję O'Hary.

- To pani! Niemożliwe... Przecież my się nie znamy! Dolores wybuchnęła śmiechem.

- Czy ty naprawdę nic" nie rozumiesz, Frank? Dolores Mendoza nie żyje od dawna. Jej ciało to tylko pokrowiec na duszę twego współnika Hansa Weissensteina.

- Nie!

O'Hara instynktownie sięgnął po szpilkę. Weissenstein zauważył ten ruch. Najpierw strzelił profesora siarczyście w pysk, a następnie zachichotał.

- Nie rób głupstw, Frank! Zabezpieczyłem się. Całą prawdę zna Rick Karsky, który obdarłby cię żywcem ze skóry, gdyby choć jeden mój pieprzyk uległ uszkodzeniu. A chyba orientujesz

się w jego możliwościach. Wszystkich świadków też nie zgładzisz. Zdeponowane zeznania w momencie mej śmierci natychmiast trafią do Arnoidsona, dużo ciekawego mógłby też zeznać mój lekarz Alain Lecoq... Nie, profesorze, nie masz żadnych szans. A szpileczkę oddaj... Żeby cię więcej nie korciło.

Ręce naukowca opadły bezsilnie.

- Czego chcesz, pieniędzy? - zapytał lękliwie.

- Też! Tyle że teraz oddasz mi wszystko, akcje, obligacje, czek... a ja je zniszczę.

- Co takiego?

- Twoje pieniądze są kroplą tego, co posiadam dzięki Richardowi. Ja chcę zabawy, Frank, chcę zemsty. Chcę sycić się twym cierpieniem, chłonąć twój zwierzęcy lęk, który już ci się zapala w oczach. Chcę widzieć twój strach przed zdemaskowaniem i twoją rozpacz.

- Bydlę!

- Trochę szacunku dla damy! Będziesz robił wszystko, co ci każę, Frank. Jeśli zechcę, będziesz zabijał, będziesz transplantał wszystko wszystkim. Razem, wspólnie będziemy drenowali mózgi jak śliwki i rozdawali ludzkie jaźnie produkując mutantów. Wiesz, jaka to będzie zabawa?

- Ty sadysto!

Weissenstein zaśmiał się, mile polechtany obelgą.

- Tak, jestem sadystą, a będę hipersadystą! A ty będziesz mój, ze wszystkimi konsekwencjami. W nagrodę zaś uczynię cię swoim kochankiem...

O'Hara zacisnął pięści.

- Muszę go zabić - pomyślał - mniejsza o konsekwencje...

- A, tuście się ukryli... - na ścieżce ukazał się Arnoidson.

- Widzi pani, panno Mendoza, jakiego mam szybkiego kolegę.

- Rozmawialiśmy o notowaniach giełdowych - Dolores uśmiechnęła się kokieteryjnie.

Franklin skorzystał z okazji, przeprosił ich i oddalił się szybko. W galerii skręcił do pierwszej lepszej łazienki. Wsunął rozpaloną głowę pod strumień wody.

- Straszny dziś upał, nieprawdaż? - powiedział ocierając się o niego mecenas Butler.

Nie było odpowiedzi.

Lecz kiedy O'Hara wyszedł, mecenas spieszenie zamknął się w kabinie. W dłoni trzymał mikromagnetofon. Pół godziny wcześniej przypiął go Frankowi, a teraz bez trudu odzyskał. Przesłuchał uważnie. Nagrania były aż za czytelne. Niestety taśma nie jest dla sądu



żadnym dowodem. Należało też wątpić, czy Weissenstein alias Mendoza złoży zeznania. Szantażowanie O'Hary było dla niego niewątpliwie atrakcyjniejsze.

Butler jednak działał szybko. Kasetę umieścił w małym pakunczku, dołączył list i szybko przekazał całość do punktu poczty pneumatycznej. Przesyłkę zaadresował do własnego sekretarza. List składał się z ledwie kilku słów. . „Skopiuj taśmę i wyślij ją natychmiast pani Lucy Holding! TB”

Było grubo po północy, gdy mecenas zapukał do okna pokoju Anny Montini. Dziewczyna nie narzucając szlafroka otworzyła drzwi prowadzące na taras.

- To ty Tom... Jak ci poszło?

- Chyba się udało, przepraszam, że cię obudziłem.

- Nie mogłam zasnąć. Wejdz.

Butler wszedł i czujnym okiem powiódł po sypialni, jakby szukał tu łaciatego docenta.

- Śpię sama - uśmiechnęła się Anna. - Mów, co jeszcze załatwiłeś?

- Zobaczysz jutro.

Panienska ziewnęła: - Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

- Nie - rzekł Tom - chciałem przede wszystkim pomówić o nas. Od czasu pojawienia się tego byd... przepraszam, Williama, wszystko zaczęło się psuć.

- Ależ Tommy... wiesz przecież...

- Bez wykrętów, Anno! Za parę dni przygoda ze świnką dobiegnie końca. Willi odzyska swoje ciało i żonę Lucy, którą kocha nad życie. Panna Montini pobladła i usiadła na łóżku.

- Myślałam— szepnęła - że on zostanie z nami.

- Sodomia i bigamia w jednym stały domu - sarknął jurysta. - Musisz pogodzić się z myślą, że Holding zniknie z naszego życia, a ja nie zamierzam już dłużej ociążać się ze ślubem.

- Kiedy ja już go trochę pokochałam...

- Wiesz, jak to się nazywa!?! - wybuchnął - wieprzofilia. Wstydz się. Dobrze, że to się wkrótce skończy.

Anna zaczęła płakać. Butler siadł przy niej i zaczął ją dobrotliwie głaskać. Następnie delikatnie całował po włosach, po karku... A potem korzystając z rozszlochania dziewczyny rozluźnił koszulkę tak, że opadła odsłaniając ramiona i piersi...

- Nie, Tommy, nie... nie możemy - szeptała biernie.

- Musimy. Jesteśmy stworzeni dla siebie, Anno!

Opierała się coraz słabiej, a on już leżał koło niej gotowy, roznamiętniony.

I wówczas ktoś zadzwonił do furtki. Ani Anna, ani zdyszany prawnik nie poznali w pierwszej chwili dawnej Lucy Crawford, zaawansowana ciąża i półprzysłona twarz sprawiły, że była gwiazda Holliday Spring przypominała raczej odgrzebany meteoryt.

- Czy to pan wystąpił z tym strasznym oskarżeniem? - rzuciła już od progu.

- Nie wiem, co pani ma na myśli mówiąc „straszne oskarżenie”? - powiedział sucho Butler.

Lucy cisnęła na stół kasetę magnetofonową.

- Jakiś łajdak przysłał mi to dziś w nocy - czy to prawda?

- Nie wiem, co jest na kasecie, nie mogę więc orzekać o prawdzie bądź fałszu - rzekł mecenas. - Ale możemy przesłuchać.

Przesłuchali jeszcze raz rozmowę O'Hary z Dolores. Butler kiwał głową, Anna słuchała z szeroko rozwartymi oczami, a Lucy Holding mieniła się na twarzy.

- No i...? - popatrzyła na adwokata.

- Niestety, to prawda.

- Domyślałam się od dawna - spuściła głowę - od dawna.

- Jak to? - nieomal krzyknęła Anna - domyślała się pani, że pani mąż nie jest prawdziwym docentem Holdingiem?

- Tak Lucy spuściła głowę jeszcze niżej - czy ktokolwiek może przypuszczać, że kobieta nie rozpozna zmiany kochanka? Już pierwszej nocy wiedziałam, że nastąpiła zamiana.

- Dlaczego więc, na miły Bóg, nie uczyniła pani nic, żeby wyjaśnić prawdę? - zawołała Anna - stała się pani współniczką tych łotrów. Zapadło długie milczenie.

- Proszę mówić - rzekł słodko Thomas - to pani ulży...

- Domyślałam się..., ale nie chciałam zmiany. Ten nowy—bardziej mi odpowiadał. ~ Jak pani mogła!

- Mogłam. Więcej powiem, przyszłam tu dzisiaj, do was, prosić o litość, o zaniechanie procesu.

- Wykluczone - burknął prawnik - została popełniona zbrodnia.

- Być może, ale z miłości! Will... czy też jak wy go nazywacie, Frank, uczynił to wszystko z szalonej miłości do mnie. Czy wy nic nie rozumiecie? Tak, popełnił masę przestępstw, ale wyłącznie kierowany uczuciem do mnie. Błagam, zaniechajcie oskarżenia!

- Proponowałem panu O'Harze dobrowolny zwrot ciała. Nie miał na to ochoty - powiedział Butler.

- Chcecie go zabić... Zrozumcie, ja go kocham! Nie róbcie tego teraz. Widzicie, spodziewam się dziecka. Jego dziecka!!!

- Czy pani przyszła tu w porozumieniu z mężem? - spytał adwokat.

- Nie... nie... On nigdy nie może się dowiedzieć, że ja wiem: Ja... ja się chyba zabiję!... No więc...

- Prawo, droga pani, jest prawem - w głosie Butlera nie ma nawet śladu najmniejszej choćby emocji. - Musimy wyświetlić wszystko do końca... Odprowadzę panią...

Lucy zaciska usta. Mecenas prowadzi ją do furtki. Anna, która narzuciła wreszcie szlafrok, wychodzi za nimi na taras. W duszy Butlera huczą fanfary triumfalne. Ruszyło! Zeznania Lucy ułożone w obecności Anny mogą mieć swoją wagę. Wygra! Skończy ze sprawą świni i padnie w ramiona ukochanej. Kiedy sypialnia Anny opustoszała, spod łóżka wygramoliła się ukryta od dłuższego czasu świnka. Trzęsła się jak w wysokiej gorączce, a ryj miała mokry od łez.

O'Hara spacerował pustymi ulicami Holliday Spring... Czasem minęła go gościnnie zwalnająca taksówka, kiedy indziej policyjny radiowóz. Był chłodny, spokojny. Przed zegarem na placyku między uniwersytetem a supermarketem przystanął. Była trzecia.

- Niech to się wreszcie skończy. Niech to się skończy. - Przez krótki czas myślał o ucieczce. Nie miała żadnego sensu. Już wczoraj zorientował się, że jest pod dyskretnym nadzorem agentów. Może Butlera, może policji?

Tak doszedł do sklepu, w którym niedawno zakupił sztucer na grubego zwierza. Przez chwilę przyglądał się oświetlonej wystawie, potem ujął kawałek ukruszonego muru i cisnął w taflę.

W kwadrans potem był w domu. Nie miał odwagi zajrzeć do sypialni żony. Jeszcze obejrzał mały, poręczny pistolet ukradziony z witryny. Zarepetował go i włożył pod poduszkę. Na ulicy słychać było szybkie kroki. Nasz ulubiony Ciąg Dalszy znajdował się tuż, tuż.

Główna sala Sądu Okręgowego wypełniona była po brzegi. Obok normalnych bywalców wśród widzów można było znaleźć szereg znakomitości naukowych, a przede wszystkim moc dziennikarzy. Nikt dokładnie nie znał szczegółów, ale przecieki i niedyskrecje wystarczyły, by zwabić publiczność żądną sensacji. Na razie miało odbyć się przesłuchanie wstępne. Thomas Butler uzyskał

- dzięki swoim znajomościom i wyjątkowemu charakterowi sprawy  
- maksymalne przyspieszenie procedury.

Sędzia po wypowiedzeniu formuł wstępnych przystąpił do rzeczy.

- Wpłynął pozew od pana Williama Holdinga reprezentowanego przez mecenasa Thomasa G. Butlera przeciwko panu Franklinowi O'Harze. Proszę o powstanie powoda i pozwanego!

Butler wstał, ale poza nim nikt się nie ruszył. Wszyscy spojrzeli na profesora, ale ten nawet nie drgnął. Na sali zaszumiało. W chwilę potem jak krąg po wodzie kolejny szmer przebiegł przez audytorium. W kierunku ław publiczności przeciskał się spóźniony widz: Panna Dolores Mendoza. Miała zarezerwowane miejsce tuż za profesorem Holdingiem. Ten na jej widok mocno pobił i ścisnął pulpity dłońmi tak mocno, że aż pobielały mu palce. Siedząca obok Lucy popatrzyła na męża z niepokojem.

- Powtarzam, proszę o powstanie... - zaczął sędzia, ale Butler przerwał jego słowa.

- Chwileczkę, Wysoki Sądzie, oto mój klient.

Czterech barczystych policjantów wniosło podłużną skrzynię. Mecenas teatralnym gestem (jak każdy adwokat lubował się w efektach specjalnych) otworzył skrzynię. Przed barierką dla świadków pojawiła się łaciata maciora, odziana w skromny kaftanik i wytworną muszkę.

Na sali zawrzało. Wysoki Sąd poczuł się nagle diabelnie niskim, piękna Dolores przysłoniła twarz wachlarzem, O'Hara wsunął się głębiej w fotel, a z ust Lucy dobiegł tylko jęk.

- Boże, Boże!

Co bardziej nerwowi żurnaliści rzucili się do dalekopisów, pozostali jednak cierpliwie czekali na dalszy rozwój dramatu.

Sędzia dobre trzy minuty walił młotkiem w pulpity, pragnąc zapanować nad ogólnym bałaganem. Wreszcie, gdy wrzawa nieco opadła, niemal krzyknął do Butlera:

- Panie mecenasie, cóż to za niesmaczny żart?

- Proszę o wyrozumiałość. Wysoki Sądzie. Wszystko zostanie wyjaśnione. Daję słowo, że mimo nietypowych warunków powaga Wysokiego Sądu nie zostanie w najmniejszym stopniu naruszona. W imieniu tu obecnego Williama Holdinga oskarżam tu obecnego Franklina O'Harę o to, że w dniu 14 marca bieżącego roku wraz z doktorem Hansem Weissensteinem dokonał zamachu na zdrowie, mienie i wolną wolę Williama Holdinga, przeprowadzając wbrew woli mego klienta transplantację jego mózgu świni rasy nizinnej (*sus domestica*). Ponadto obecny tu Franklin O'Hara dopuścił się pospolitej kradzieży, polecając umieszczenie swego mózgu w ciele Williama Holdinga i jednocześnie wbrew przepisowi o traktowaniu zwłok nakazał zniszczenie własnego ciała za pomocą młyna paszowego...

Teraz na sali zakotłowało się. Okrzyki „To niewiarygodne” krzyżowały się z wykrzyknikami „Bujda!” Jedni domagali się ciszy, inni żądali przerwania haniebnej rozprawy.

Sędzia jeszcze raz stanął na wysokości zadania. Powtórzył kilka razy:

- Proszę o ciszę - a następnie ostrzegł, że nakaże opróżnić salę. Trochę to poskutkowało. - Mecenasiu - powiedział wreszcie, kiedy jego głos mógł być już słyszany. - Wystąpił pan z niesłychanie poważnym, a zarazem wręcz nieprawdopodobnym oskarżeniem, mam nadzieję, że ma pan na poparcie swych karkołomnych też jakichś świadków, dowody. Thomas Butler wskazał na świnkę:

- Oto mój koronny świadek i dowód!

- Ta świnka kostiumowa! - zachnął się sędzia.

- Tak jest. Wysoki Sądzie, ta świnka. Już za chwilę złożę przysięgę, że będzie mówić prawdę i tylko prawdę.

Zatrzeszczały barierki na widowni, wszyscy wychylili się maksymalnie, pragnąc obserwować scenę nie mającą sobie równych w liczącej kilka tysięcy lat historii prawa. Nikt nie zwracał uwagi na piękną Dolores, która poblądła i poczęła się rozglądać, jak najłatwiej można opuścić salę.

- Czy... „świadek” umie mówić? - zapytał sędzia.

- Nie, ale potrafi wystukiwać zdania na maszynie. Na moje polecenie skonstruowano maszynę o szerokich klawiszach dopasowanych do kopytek mojego klienta.

Wniesiono maszynę, wkręcono papier, a sędzia zwrócił się do świni.

- Dla uproszczenia ja odczytam formułę i wystarczy, jak napiszesz słowo tak. - Wstał i odczytał przysięgę.

Świnka ani drgnęła. Rozglądała się ciekawie po sali...

- No, Will, dalej! - zawołała Anna.

- Panie Holding, proszę pisać - ponaglił Butler. Ale apatyczne zwierzę zakręciło się tylko i wyciągnęło wygodnie w pobliżu ławy oskarżonych. Na sali wzmogły się śmiechy.

- Nie rozumiem, co jej się stało - bełkotał Butler - może ją podmienili.

Anna przeskoczyła barierkę dzielącą publiczność od trybunału i uknęła koło zwierzęcia.

- No, kochany... mów, nie denerwuj się! W tej pozycji chwyciły ją flesze reporterów. Wrzawa osiągnęła swe maksimum.

- Do domu wariatów z tym adwokatem i dziewczyną!

- Zróbcie ze świni obiad dla Sądu Najwyższego!

- Od kiedy Temida pracuje w chlewie!

- Zmuszony jestem przerwać to poniżające widowisko! - wołał purpurowy z gniewu sędzia.

- Will, najdroższy! Nie marnuj jedynej szansy! - łkała panna Montini.

- Proszę skończyć te pieszczoty - huknął sędzia. - Proszę o ciszę!!! Proszę...

Piękna Dolores była już spokojna, wychyliła się i musnęła włosy O'Hary.

- Mamy szczęście, Frank, duże szczęście... Już mi się nie wymkniesz!

Anna wstała na równe nogi.

- Wysoki Sądzie, William nie chce złożyć zeznań celowo. Z miłości do pani Lucy!...

- To nieprawda - krzyknęła Mrs. Holding.

- ...chce również być lojalny wobec mecenasa Butlera. Will sądzi, że przez niego rozpada się nasze narzeczeństwo z Thomasem... Ale to nieprawda!

- Sądu nie interesują pani prywatne sprawy. Proszę się uspokoić...

Ogłaszam rozprawę...

- Za pozwolenie!

W głosie Holdinga vel O'Hary było coś takiego, co nakazało zamilknąć tłumowi. Frank przeskoczył przez barierkę i stanął przed trybunałem.

- Bardzo przepraszamy pana profesora za to zajście - zaczął sędzia.

- Chciałem złożyć zeznanie - mówił naukowiec nie zwracając na nic uwagi. Uciszyło się zupełnie. - Ja, Franklin O'Hary, będąc w pełni przytomny i świadomy, w całej rozciągłości potwierdzam oskarżenie przedłożone przez mecenasa Butlera. - Tu podszedł do świni i przez moment oglądał blizny na jej głowie. - Tak, to rzeczywiście prawdziwy docent Holding!

- Oszalałeś, Frank! Co ty gadasz! -w ciszy, która zapadła, rozległ się piskliwy okrzyk Dolores.

- Doktor Hans Weissenstein, współsprawca przestępstwa, niewątpliwie to potwierdzi.... Doktor H ans Weissenstein, czyli obecnie Dolores Mendoza - kontynuował O'Hary - Tak, Wysoki Sądzie. Przyznaję się do wszystkich tych potwornych czynów i gotów jestem ponieść zasłużoną karę. Ale nikt już przeze mnie nie będzie cierpiał. Nikt nikogo nie będzie szantażował! Przegrałeś, Hans! Koniec... Piękna Dolores usiłowała pobiec ku drzwiom, ale dwóch barczystych strażników przytrzymało ją zdecydowanie. O'Hary stanął przy świnie.

- Wybacz, Will. Za dużo chciałem! Reszty dokonał ten diabelny Mefisto, Hans! Zwracam ci, co zabrałem.

- Nie - krzyknęła Lucy i osunęła się zemdlna. W rękę O'Hary błysnął pistolet. Uniósł go do ust.

Ale Thomas Butler był szybszy. Dopadł Franka, zanim uczynił to którykolwiek z funkcjonariuszy. Szamotali się przez chwilę. Padł strzał.

- O Boże! - jęknął sędzia równocześnie z Anną Montini.

Kula przeznaczona dla Franka ugodziła w czoło mecenasa Butlera...

- Ja..., ja nie chciałem - bełkotał O'Hary. Cały czas cykały aparaty fotograficzne. Świnka pobiegła tymczasem do maszyny i pośpiesznie zaczęła wystukiwać jakiś tekst.

Za oknami padał deszcz. Starsza pani pośpiesznie zaciągała firanki. W sąsiednim pokoju zapłakało dziecko.

- Pójdę do niego - powiedziała Lucy... Ciotka Anny poszła razem z nią. Przy stole pozostali we trójkę.

Dobrze poznaliśmy te twarze. Mecenas Butler ze świeżą jeszcze blizną na czole, profesor William Holding i Anna. Na palcach Thomasa i Anny lśniły obrączki.

- Drodzy przyjaciele - powiedział Butler - dziś w rocznicę tych wszystkich nieporozumień wypijmy za przyszłość. I nasze zdrowie.

- Twoje zdrowie, Will - powiedział Holding do Butlera.

- I twoje, Frank - podchwyciła Anna, uśmiechając się do Holdinga.

Niech dziwaczne poplątanie nazwisk i imion nikogo nie zmyli. Sprawa zakończyła się ogólnym happy endem.

O'Hara zachował dawne ciało Holdinga, do którego już przywykł. Zrezygnował natomiast z pracy w Instytucie, zakładając wytworny lokal rozrywkowy za pieniądze, które zarobił w czasie swego półrocznego holdingowania, a z których prawdziwy Holding wspaniałomyślnie zrezygnował.

Mózg Williama po zabraniu go z ciała świni (czego, nawiasem mówiąc, momentami żałował) znalazł nowe wspaniałe schronienie w czaszce mecenasa Butlera. Zrekompensowało to z nadwyżką bolesną

stratę, która spotkała Annę. Obecnie mogła jednocześnie cieszyć się duszą swego ukochanego i ciałem, które potrafiło ją fascynować. Oczywiście William-Thomas wrócił do pracy naukowej.

Po wycofaniu oskarżenia O'Hara został zwolniony i obciążono go jedynie grzywną za występowanie pod cudzym nazwiskiem. Dolores Mendoza do końca życia miała przebywać w luksusowym zakładzie zamkniętym, który kupił jej Karsky. Można się tam było znęcać wyłącznie nad martwą naturą.

Małżeństwa Holdingów i O'Harów połączyły się więzami szczerzej, braterskiej przyjaźni. W naszej epoce stara zasada, że każde przestępstwo musi być ukarane, stała się poniekąd anachroniczna; natomiast slogan „świństwa zbliżają ludzi” był coraz bardziej aktualny.

Zresztą los ukarał Franklina O'Harę... Wraz z upływającym czasem jego skóra stawała się coraz twardsza i twardsza, a grzbiet począł pokrywać się szczecina. Na szczęście dziecko było normalne. Lucy urodziła zdrowe i krzepkie Murzyniátko przypominające do złudzenia jednego z championów wagi ciężkiej pseudo „Czarny Waleń”, który dziewięć miesięcy wcześniej odwiedził Holliday Spring...

- Zasnęło - Lucy O'Hara delikatnie zamknęła drzwi i zbliżyła się do grupy przyjaciół. Gospodarz zdążył ponownie ponapełniać kielichy.

- Teraz moja kolej - rzekła ex-aktorka - piliście zdrowie wszystkich. Ja natomiast pragnę wnieść toast: „Sto lat” dla Naszego Ulubionego

Dalszego Ciągu. Jak na komendę wszyscy zajrzeli pod stół. Ale Dalszego Ciągu tam nie było. Być może autor przetransplantował go gdzie indziej. W końcu, jak długo można chorować na świnkę.

KONIEC

(1976-1979)